

nadodrze

ZIELONA GORA
ROK XXXI NR 22 [353]

1-14 XI 1987 R.
CENA 20 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

REWOLUCJA
PAŹDZIERNIKOWA
A POLSKA I POLACY

KULTURA
- sposób życia?

Rewiry edukacji

Dusiciel z Gubina

TAKI
PEJZAŻ

KRZYK

KLUB
VIDEO

SCENY
Miłosne

Eugeniusz Jewtuszenko



M. Bernesow

Czy Rosjanie chcą wojny?
Spytaj niebo spokojne,
także pola i łąki
oraz drzew świeże paki.
Spytaj również żołnierzy,
co pod brzozami leżą,
syn odpowie pytaniem:
czy chcą wojny Rosjanie?
Także za swą ojczyznę
śmiercią żołnierz i blizną
placi, by ludzie świata
mogli z życiem się bratać.
Liść szeleści i afisz,
Nowy Jork śpi i Paryż.
Dreńcy wszystkich to zdanie:
czy chcą wojny Rosjanie.
My wojować umiemy,
ale więcej nie chcemy,
by w boju żołnierz ginał
gdzieś za ziemię niczyją.
Matkę spytajcie swoją,
a także żonę moją.
Wtedy jasnym się stanie,
czy chcą wojny Rosjanie.

Tłumaczył: ROMAN GORZELSKI



Rys. LESZEK HERMANOWICZ

Zamiast grzybobrania opowieść o czerwonych bukach

Krystyna Mucha, Gustaw Łapszyński

Wysoki maszt telewizyjnej stacji przekątnikowej w Jemiołowie, będący współczesnym akcentem w krajobrazie wsi, w zestawieniu z przytulnym barakowozem Antoniego Ankudy, tworzy kontrast w tej opowieści. Z wysokości wieży telewizyjnej widok jest jednak nieco zamazany. Znajomy teleoperator wskazuje ręką rozległy pejzaż Jemiołowski — łagowski. Domki wyglądają jak pudełka za palek. Nitka polnej drożyny wioskowej prowadzi wprost do lasu. Przed ilściastą ścianą czerwonych buków znajduje się barakowóz Ankudy. Nieopodal wstają w ziemię ruiny leśniczówki. Gąszcz ogromnego zbiorowiska drzew ukrywa niektóre szczegóły. Nie widać rozwalającej się obórki dla konia. Jest las. I jeszcze dalej, gdzieś wśród leśnych ostępów za białawym murem z mgły, przebliskuje tafia Jeziora Trześcińskiego.

Na dole jest wyraziście. Tutaj drzewa i ludzie nabierają konkretnych wymiarów. Zamglone słońce rozświetla mroczność świerkowego zagajnika. Ta sama droga prowadząca do barakowozu Ankudy, widziana z wieży telewizyjnej, staje się teraz wyboistym wertepem do pokonania. Na nasze szczęście trasa tę pokonuje Kobyłka. Siedzimy więc na furcie i trzaskamy się z nią na zaschłych koleinach. W rękach trzymamy wiklinowe koszyki.

— Nu, Kobyłko! Wio, maleńka. Ha, obiecał zaprowadzić na borowik, to i poprowadzę. Pan może zna te lasy, ale pan chyba jest pierwszy raz. Da Bóg dojeżdżem, Kobyłko uwierz mi i widać do zagajniczki. A znam ja dobre nieśce, o! znam. Kosę można grzyby kosić. Całe życie ja przecież przebywałem w lesie. No, prawie całe.

Krajobraz coraz bardziej się urealniał: o! przydrożny krzew głogu, zagajnik świerków, grupka grzybiarzy. Na przydrożnym polu żniwiarze obkaszają wyłgłe zboże. To już nie jest ten bajkowy, podświetlony słońcem, widok z góry. Tam — napaścił swą poetyczną wrażliwość, tutaj rzeczywi-

stość pejzażu staje się męczącą. Za czerwonymi bukami znajduje się grzybowe eldorado.

Antoniego nie trzeba namawiać, że by mówił. Mówi i mówi, bo lubi mówić.

— Pamięta pani, jak zawalili się ta mrowina leśnicówka? Nu, musi pa miętać, bo mieszka we wiosce... Ot, zawalili się nie wiadomo czego, stara była. Został się bez chałupy. Nu nie powiem, syn przyjechał po mnie autem. Tak poszedł ja do niego na zamieszkanie. Pobyl ja ze trzy dni i pomyślał: czas tobie Antoni wracać pod las. Kobyłka czeka u ludzi, z flintą po chodź się po lesie, zwierza ubijesz, ugotujesz stawy z dziczyzny i zdrowyś od razu będziesz... Nu, wio, wio, Kobyłko! Ha, tak ja nikomu nie nie powiedziałem, poszedł sobie i przez lasy doszedł do swojej chałupy. Ale co mi było tam robić? Stał i myślał: chałupa powalona, drugiej nie pomuruję, trzeba mnie szukać innego kwaterek. Na ten czas wzrok mój zahaczył się na takiej budzie, co to leśni narzędzia trzymają. Toż jakby w tej budzie piec wstawić, rurę bokiem puścić, to stawy można naszykować i zimą ciepło będzie. Jak pomyślał, tak zrobił. Co mógł, przyniósł z powalonej leśniczówki, napalił, nagotował wo dy z jeziora i od razu poczuł się lepiej. Był ja znowu na swoim, w lesie. Ja lasu nigdy nie zdradziłem.

Las jest obok nas. Delikatny poszum brzozywych liści zapowiada powolne wzniesienie się wiatru, który w efekcie przyniesie chmurę burzową. Przeróżnie brzmiały głosy sówki także zwia stuje rymy nadejście deszczu. Trzeba znać mowę natury. Antoni zna mowę lasu. Rozmawia z bukami. Kłania się rozłożystym dębom rosnącym na brzegu jeziora. Słyszysz pulsowanie żywego lasu.

— A syn? Syn przyjeżdżał po mnie. Prosił, namawiał. Mówił, że wstydno mu za ojca, że jak dziki zwierzę żyje. Ale ja nie dumny, drugi raz nie dał ja się wzięć. Ot, i mieszkam se na ubo-

czu... Dopiero później odkupił ja od drogowych ten barakowóz. Nu, niby lepszy. Kobyłku trzymam, latem siana nasuszę, poletko leśnej ziemi uprawię, zboże zbiorę. At, i nadleśnictwo mi po maga... Ha, po co mi Kobyłka? A do kogo by ja mówił? Zwierzę cierpliwe, wysłucha. A i do ludzi trza nieraz zająchać, w sklepie się obkupić. Robić coś muszę, bo jak się człek nie rusza, to serce wolniej bije. Nie, nie myślę o śmierci, na kosztowne mam czas. Dopiero u mnie 87 wiosen... Chorować, to ja jeszcze mocno nie chorowałem. Ot, za słabł letnią porą z gorącości, ludzie ratunek dali. Trochę poleżał ja na ławeczce we wsi pod sklepem i zaraz przeszło. Kiedyś na polowaniu mnie postrzelili, to sam ja musowo się wykurował, bez żadnych dochtarów. A gdzie u mnie ta choroba się ma trzymać? W tej chudości, gdzie kości ze sobą jakby w kiczkie grali? Ha, serce u mnie jak dzwon... Nu, wio Kobyłko!

Ankuda jest chudy i wysoki. Serce ma jak dzwon. Twarz spękana i wyłożona od wiatru wydaje się być podobna do czerwonego buka. Niby kora cała, zwieźła, ale tu i ówdzie widać głębokie pęknięcia. Człowiek upodabnia się do otoczenia. W przyrodzie nazywa się to zjawiskiem mimikry. Jedziemy. Jedziemy w las.

— Nu, trzy rok ja rąbał drzewo w tajdze. Ja Sybirak, tak, tak. A jak się tam dostał? Zwyczajnie. W legionach Piłsudskiego służył. Jak nastąpiła wojna w trzydziestym dziewiątym, wycofali my się za Bug. Był ja tam pospolu z innymi żołnierzami. Całe tysiąc osób było. Później przetransportowano nas na Syberię. Tam mieszkaliśmy w barakach, drzewo cieli, psy jedli. Było ciężko... Pani mówi, że starczyłoby tej opowieści na drugie „Babie lato”? Nic o tym nie słyszał. Ha, taką książkę napisali. Pani zdaje się też próbuje coś grzmolić. O mnie pisali po gazetach. Taki jeden redaktor z Zielonej Góry strasnie się dziwował, że ja w lesie żyję. Ale, co tam... Wiata, wiata, Kobyłko!... Na czym to ja skończył? Aha, jak był na Syberii. Tam dowiedział się, że w Sielcach organizują polską wojsko. To myśle, sobie ja wte dy: nu, Antoni, przyszedł czas, żeby do armii polskiej tobie pójść, bo na wojnie się znasz. Wroga bić będziesz, do ojczyzny dojdiesz prędzej. A trzeba tobie kobito wiedzieć, że ja za kra jem mocno tęskniłem. Ale gdzie on miał być, wtędy nie wiedział. Dużo nas przyjechało. Wszystkie obdarte, głodne. Ha, ale w gromadzie białe białe zno sić. Toż wojna była. Głodowali my, i

Ciąg dalszy na str. 6

Opinie i refleksje

„PIERIESTROJKA”

W CAŁEJ WSPÓLNOCIE

Modernizacja gospodarki narodowej obejmuje całą wspólnotę socjalistyczną. Ten proces podjęta z całą mocą również Polska uchwała V Plenum KC PZPR w sprawie urzeczywistnienia II etapu reformy gospodarczej i realizacji jej rozwiązań na miarę oczekiwań społecznych i konieczności rozwojowych. Podstawowe kierunki wskazał tu w swym wystąpieniu Wojciech Jaruzelski a następnie podczas obrad Sejmu program reform gospodarczych i zmian w rządowym „Centrum” przedstawił premier Zbigniew Messner. Wreszcie nadzwyczaj doniosłe znaczenie ma uchwała Sejmu w sprawie referendum krajowego.

Przebudowa i modernizacja podjęta w różnych krajach będzie miała szanse powodzenia tylko w ramach całej wspólnoty socjalistycznej dając w ten sposób możliwość koordynacji wszystkich niezbędnych działań. Dlatego tak ważne znaczenie mają ustalenia podjęte na ostatniej sesji RWPG.

Na konferencji prasowej, jaka odbyła się po tej sesji, jeden z dziennikarzy za chodnich zadał pytanie: dlaczego w RWPG potrzebna jest „pieriestrojka”? Odpowiedź była następująca: proces socjalistycznej integracji musi w znacznym stopniu wpływać na intensyfikację zarówno gospodarek poszczególnych krajów jak i całej wspólnoty po to, by zdynamizowała ona swój rozwój. Dzisiejsze wyniki, formy i metody pracy już nie wystarczają. Trzeba w naszym wspólnym domu zaprowadzić większy porządek, pozbyć się biurokratycznych narosów, przestarych dogmatów, które hamują nasz rozwój. Właśnie nad tym łamiemy sobie dziś głowę — jak powiedziano na konferencji.

Obecna sesja RWPG została przez wszystkich obserwatorów politycznych określona mianem nadzwyczajnej. Stało się tak dlatego, że rozpatrywano na niej niezwykle ważne problemy. Impulsem były postanowienia przyjęte na spotkaniu przywódców partii państw członkowskich RWPG w listopadzie ubiegłego roku. Wytyczono na nim główne kierunki zmian funkcjonowania Rady i mechanizmów współpracy krajów socjalistycznych. Potrzeba tych zmian wynika z konieczności dostosowania wspólnej pracy wielostronnej do przekształceń i reform ekonomicznych podejmowanych w naszych krajach.

Stopniowa przebudowa mechanizmów integracji nie może być przy tym rzekomo, kosmetyczną poprawką lecz musi posiadać charakter głębokiej jakościowej przemiany. Wspólnym mianownikiem jest zgoda co do tego, że dotychczasowe formy współpracy spełniły swe zadanie, ale dla dzisiejszych i przyszłych planów już nie wystarczają. Dlatego trzeba tworzyć — i już powstają — uniwersalne reguły ekonomicznego współdziałania, po to m.in. aby przedsiębiorstwa mogły samodzielnie nawiązywać i rozwijać korzystne kontakty gospodarcze ze swoimi socjalistycznymi partnerami.

Uzgodnione podczas sesji kierunki zmian mechanizmów odpowiadają tak sformułowanym celom i oczekiwaniom Polski. Chociaż nie ukrywaliśmy na sesji, że tempo przemian mogłoby być szybsze...

Coraz bardziej uświadamiamy sobie jakie dodatkowe szanse stwarzają procesy zachodzące w gospodarce Związku Radzieckiego, szczególnie wzrost samodzielności i inicjatywy przedsiębiorstw. Unikalność i wielkość rynku radzieckiego jest ogromną zaletą.

Warto podkreślić, że na rynku ZSRR upatrują swe szanse również kraje zachodnie. Przykładem może być zawieranie spółek między firmami z państw kapitalistycznych a przedsiębiorstwami radzieckimi. Jak wiadomo, znaczna część państw Europy Zachodniej znajduje się w ramach EWG.

Obecnie chodzi o utworzenie podwalin również pod Wspólny Rynek państw RWPG. Chodzi m.in. o niezwykle ważną sprawę przyspieszenia procesu dochodzenia do wymagalności waluty w ramach wspólnoty. Konieczne jest jak najszersze przywrócenie roli instrumentów finansowych. Jest to dziś jeden z kluczowych problemów przebudowy mechanizmów socjalistycznej integracji. W ten sposób wielki proces „pieriestrojki” zachodzący w Kraju Rad osiągnie niebawem wymiar uniwersalny w ramach całej wspólnoty.

MICHAŁ HOROWICZ

W XXX - LECIE NASZEGO PISMA

Zespół Redakcyjny „Nadodrza”

Zielona Góra

Z okazji trzydziściu lat istnienia Waszego dwutygodnika proszę przyjąć od Zarządu Robotniczej Spółdzielni „Prasa-Książka-Ruch” i ode mnie osobiste najserdeczniejsze gratulacje i wyrazy uznania dla wszystkich pracowników „Nadodrza” a także szerokiego grona Waszych Współpracowników. Pismo Wasze w ciągu 30 lat dobrze służyło regionowi i jego stałemu dynamicznemu rozwojowi. Wasza pełna twórczość zaangażowania działalność publicystyczna zyskała uznanie i popularność wśród czytelników.

Składając serdeczne gratulacje całemu Zespołowi „Nadodrza” życzę wszystkim jego Członkom dalszej owocnej pracy w realizacji linii programowej pisma.

Przesyłam także serdeczne życzenia wszelkiej pomyślności w życiu osobistym.

Wiesław Rydygier

Prezes Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej RSW „Prasa-Książka-Ruch”

Warszawa, październik 1987 r.

Zaodrza

Współpraca miast

niemieckich

Ważnym nurtem rozwijającej się współpracy RFN i NRD są umowy partnerskie między miastami obu krajów. Jest to nowa forma wzajemnych kontaktów między państwami niemieckimi, obejmująca różne dziedziny życia i pracy obu społeczeństw. Wprawdzie ich idea zrodziła się przed kilkunastu laty po obu stronach Łaby, niemniej jednak pierwsze umowy podpisano dopiero u schyłku 1986 r.

Pierwsze lody przełamały Saarlouis (RFN) i Eisenhuettenstadt (NRD), które podpisały takie porozumienie jeszcze w październiku ubr. Z kolei w grudniu Neukirchen, w Zagłębiu Saary, nawiązało partnerską współpracę z Lubben. Te pierwsze, bardzo jeszcze nieśmiało działające, mające na celu wzajemne zbliżenie społeczeństw RFN i NRD, spowodowały prawdziwą lawinę umów partnerskich. Obecnie współpracuje ze sobą 26 miast, 13 z NRD i tyleż samo z drugiego państwa niemieckiego. Niebawem na liście miast partnerskich pojawią się kolejne ośrodki. Prowadzone są bowiem obecnie rozmowy między władzami miasta Dessau w NRD i Ludwigshafen, Neubrandenburga i Flensburga oraz kilku innych. W przygotowaniu znajduje się też umowa między Poczdamem i Bonn.

Rozwój umów partnerskich stworzył małą bazę do dalszej współpracy gospodarczej, a w wielu przypadkach także do bezpośredniej kooperacji przemysłowej i produkcyjnej. Nierzadko mówi się o współdziałaniu na rynkach trzecich. Rodzą się także pierwsze wspólne inicjatywy dotyczące nie tylko gospodarki komunalnej, wymiany kulturalnej i sportowej między miastami partnerskimi, lecz także i w innych dziedzinach życia obu społeczeństw. (X)

Miłość i odpowiedzialność

„Berliner Zeitung” zamieściła rozmowę z prof. Anitą Weissbach — Rieger z berlińskiej kliniki „Charite”, która specjalizuje się w zagadnieniach higieny seksualnej. Przedmiotem rozmowy są zmiany w stosunkach partnerskich i seksualnych w NRD.

Na początku rozmowy prof. Weissbach — Rieger stwierdziła, że stosunki społeczne panujące aktualnie w NRD, w tym przede wszystkim gwarantowane prawem równouprawnienie kobiet, wywarły istotny wpływ na życie seksualne. Najważniejszy rezultat powyższego to rozpowszechnione przekonanie, że mężczyźni i kobiety mogą obecnie kształtować swoje życie seksualne bez przymusów ekonomicznych, co stanowiło cechę charakterystyczną minionych epok. Jedną z najważniejszych zdobyczy kobiet w obecnej epoce jest możliwość swobodnego decydowania o liczbie swych dzieci i czasie, kiedy się one rodzą.

Obecnie stosunki seksualne służą nie tylko prokreacji, gdyż znacznie większą rolę odgrywają w ich przypadku także sprawy, jak osiągnięcie zadowolenia z przeżyć erotycznych. Powoduje to jednak, że częściej niż w przeszłości dochodzi do konfliktów między partnerami. Szczególnie wymagające w NRD stały się kobiety, co prowadzi do nasilenia się liczby rozwodów, zwłaszcza wówczas, gdy partner upiera się przy dawnym, tradycyjnym podziale ról w małżeństwie.

Na pytanie, czy młodzież stała się obecnie bardziej swobodną obyczajowo, prof. Weissbach-Rieger odpowiedziała,

że w zasadzie nie podziela takiej opinii, ponieważ w przeciwieństwie do swych rodziców i dziadków młodzież nie musi obecnie kryć się ze swymi uczuciami i sympatiami. Wiele tabu zostało złamanych i jest to zjawisko bardzo korzystne.

Z drugiej strony rozmówczyni „Berliner Zeitung” zwróciła uwagę na pewne niepokojące zjawiska we współżyciu seksualnym młodocianych. Oteż większość z nich nie rozumie konieczności przestrzegania wymogów higieny, co jest szczególnie ważne w dobie zagrożenia AIDS. Następne niepokojące zjawisko to fakt, że połowa młodzieży w wieku do 18 lat nie stosuje środków antykoncepcyjnych. Rezultat: co piąta dziewczyna w tym przedziale wiekowym zachodzi w ciążę. Co gorsza, zabieg przerwania ciąży jest traktowany przez młode kobiety jak zabieg kosmetyczny, co wprawia lekarzy w osłupienie. Powyższe zjawiska wymagają wzmożenia pracy wyjaśniającej wśród młodzieży. (X)

Pogarsza się jakość

„Wartburga”

Pogarsza się jakość samochodów marki „Wartburg”. Ich użytkownicy skarżą się coraz częściej na usterki zdarzające się nawet w nowych pojazdach opuszczających fabrykę w Eisenach. Jeden z czytelników tygodnika satyrycznego „EULENSPIEGEL” naliczył ostatnio w swoim fabrycznie nowym wozie aż 38 poważnych wad, uniemożliwiających eksploatację. Niewiele lepszy okazał się również kolejny samochód, przekazany mu w zamian za wybrakowany.

Na rynku NRD popyt na samochody znacznie przewyższa podaż. Okres oczekiwania na przydział nowego pojazdu produkcji krajowej przekracza 10 lat. Niska produkcja, stwierdza to samo pismo — nie może usprawiedliwiać braków. Problematyka złej jakości produkcji prawie w ogóle nie trafiała na łamach prasy NRD. Ostatnio uczyniono od tej zasady wyjątek, który — jak się wydaje — jest efektem zapoczątkowanej uchwałą XI Zjazdu NSPD kampanii poprawy jakości towarów przez znaczących na rynek krajowy. Jak powiedział w czasie niedawnego kongresu związków zawodowych ich szef, Harry Tisch, jest ona z reguły gorsza, niż wyrobów na eksport. (X)

ZaŁABA

RFN-ZSRR: partnerstwo miast, krajów i republik

We wrześniu br. w Saarbrücken oficjalnie przypięczono pierwsze zachodnio-niemiecko-radzieckie partnerstwo na szczeblu kraju federalnego i republiki radzieckiej: między Saarą a Gruzją. W ramach partnerstwa przewiduje się wymianę uczniów, nauczycieli, artystów i uczonych, kontakty między zakładami pracy oraz wymianę doświadczeń i informacji w dziedzinie techniki i ochrony środowiska. Ma nastąpić wymiana eksportów z zakresu ochrony środowiska i ma się popierać nowe formy kooperacji gospodarczej. We wspólnym oświadczeniu partnerzy wyrażają także wolę „likwidowania obrazów wroga po obu stronach, wytworzenia zaufania i utrzymywania dożyłocielskich stosunków w duchu Dokumentu Kołowego z Helsinek”.

Od 1975 r. istnieje umowa o partnerstwo między stolicami Saary i Gruzji,

Redaktor naczelny „Nadodrza”

Z okazji JUBILEUSZU — XXX-lecia NADODRZA w imieniu Prezydium Lubuskiego Towarzystwa Kultury w Zielonej Górze przekazujemy na ręce Pana Redaktora całemu Zespołowi serdeczne gratulacje i najlepsze życzenia.

NADODRZE — dowód awansu kulturalnego województwa — w znacznej mierze przyczyniło się do rozwoju środkowego Nadodrza, do przyspieszenia procesu integracji społecznej. Od początku swojego istnienia odegrało znaczącą rolę w dziejach regionalnego ruchu kulturalnego, uczestnicząc we wszystkich ważniejszych jego inicjatywach.

Popularyzowało polską przeszłość środkowego Nadodrza, będąc jednocześnie niemal jedynym dostępnym źródłem wiedzy o przeszłości regionu. Uczyniło patriotyzmu, upominało się o powstanie i rozwój środowisk twórczych i instytucji. Było trybuną wypowiedzi miejscowych środowisk — literackiego i naukowego. Łączyło pisma przez całe trzydziście lat stanowiąc interesujący dokument kulturalny i gospodarczy rozwoju regionu.

Raz jeszcze dziękując za służbę regionowi, życzymy całemu Zespołowi dalszych sukcesów oraz wiele satysfakcji z realizacji podejmowanych działań, a nade wszystko pomyślności osobistej.

Za prezydium LTK

Sekretarz Alicja Karpowicz

Prezes Julian Dobosz

Zielona Góra, 2 października 1987

Saarbrücken i Tbilisi. Było to pierwsze radziecko-zachodnio-niemieckie partnerstwo miast. Od tamtej pory zawarto już ponad dwadzieścia takich porozumień. Najświeższym jest umowa partnerska między Salzgitter a miastem Staryj Oskół (Republika Rosyjska). Jest to pierwsze partnerstwo miasta w Dolnej Saksonii z miastem radzieckim: odpowiednia umowa została podpisana w pierwszej połowie września, podczas wizyty nadburmistrza Salzgitter, Hermana Strucka, w Starym Oskole. Już przed kilku laty w tym mieście, leżącym w pobliżu Kurska, w największym zagłębiu rud żelaza na świecie, wybudowano przy pomocy spółki Salzgitter AG wielki kombinat elektrometalurgiczny. (X)

Zaniepokojenie Centralnej

Rady Żydów

Centralna Rada Żydów w Niemczech wyraziła zaniepokojenie publiczną dyskusją, prowadzoną w Republice Federalnej na temat narodowego socjalizmu. W oświadczeniu w związku z rozpoczęciem żydowskiego nowego roku (25 września) Rada zdecydowanie skrytykowała „spór historyków”. Oświadczenie głosi m.in.: „Są uczeni, którzy w imię zdyskredytowanego przez historię rozdziału etosu politycznego od naukowe starają się nadać tępy i błędny ton bagatelizującym (narodowy socjalizm) polar rzeczywistości akademickiej”. Wielu Żydów czuje „jak najgłębszą odrazę” do tych wypowiedzi w „sporze historyków”, które cechuje obojętność wobec stanowisk zrzucających winę na Żydów czy obciążających ich w inny sposób. Jednocześnie w oświadczeniu z wdzięcznością odnotowuje się protesty przeciwko takim wystąpieniom.

Centralna Rada Żydów przypomina też przy okazji, że w wielu krajach Żydzi są nadal zagrożeni, zarówno fizycznie jak i psychicznie. Przewodniczący gminy żydowskiej w Berlinie Zachodnim, Heinz Galinski, określił jako wstrząsający fakt, że w 40 lat po „holocaustie” Żydzi w Niemczech znowu stają się przedmiotem groźb. W oświadczeniu wydanym z okazji żydowskiego Nowego Roku Galinski stwierdza, że takiej sytuacji nie wolno tolerować. Zaniepokojenie budzi także fakt, że „wplywowe głosy kwestionują wyjątkowość zbrodni narodowosocjalistycznych”. W tym kontekście Galinski sprzeciwił się niebezpiecznemu fałszowaniu historii i zapominaniu o okrucieństwach. (X)

Najlepsze wzory

hitlerizmu

Tak określono w prasie zachodnio-niemieckiej morderstwo, którego ofiarą padł w Hannoverze 17 letni uczeń Bornemann. Związki jego znaleziono w lasku miejskim. Szybko też ustalono sprawcę, jego czterech kolegów. Bornemann, najsłabszy z nich, został pobity już po przedniego popołudnia. Kiedy podczas popijawy na zgodę przewrócił i rozbił butelkę wódki, reszta zaciągnęła go do lasu, gdzie go pobito i dobito kółkiem drewnianym. Wydawało by się, że było

to zwykłe morderstwo pod wpływem alkoholu. Dziwne tylko, że u sprawców ujętych w kilka godzin po morderstwie nie stwierdzono żadnych śladów alkoholu. Wtedy policja kryminalna Hanno- wera odkryła, że zarówno ofiara jak i sprawcy należeli do „Wolnej i Niemieckiej Partii Robotniczej” (FAP). Jest to jedna z najbardziej aktywnych i brutalnych organizacji neonazistowskich w RFN. Jej członkowie atakują cudzoziemców i antyfaszystów, grożą przeciwnikom politycznym (zdrajcy narodu, świni żydowskie, zamordujemy was wzy- stkich, Heil Hitler), zbierają się na obchody neohitlerowskie i ćwiczenia zbrojne. Prawie co tydzień policja zachodnio- niemiecka wykrywa tajne składki bro- ni FAP.

Okazało się, że już dwa dni przed rze- koma awa turą pijacką postanowiono „wykończyć” Bornemanna, podejrzanego o chęć opuszczenia organizacji. Dodatko- wo na wyrok wpłynął fakt, że ofiara od- powiedzialna za propagandę FAP w Ha- nnowerze była w posiadaniu filmów vi- deo, kompromitujących kierownictwo FAP. Filmów tych zresztą nie znaleziono, ani policja, ani mordercy nie znaleźli. Wszy- stko razem, zdaniem prasy zachodnio- niemieckiej, przypomina żywcem fakty z początkowego okresu ruchu hitlerowskie- go i budzi pytanie o, cytujemy: „cele- ności tolerowania ruchów faszystowskich w Republice Federalnej”. Prasa stwierdza przy tej okazji, że o ile wład- ze państwowe i policyjne są wręcz u- czulone na wszystkie organizacje lewicowe, to neohitlerowcy cieszą się jeżeli nie cichym poparciem, to w każdym razie dużą obojętnością władz; przypomina, że taka polityka już raz doprowadziła do wiadomych skutków. (tema)

Wspólne inwestycje

„Bild Zeitung” jako jedyne dotąd źródło przyniosło w sensacyjnej oprawie wiadomość z Bonn, że w obu stolicach obu państw opracowuje się obecnie listę priorytetowych wydatków i wspólnych inwestycji w myśl zawartych uprzednio porozumień bądź dokonanych ustnych uzgodnień. Realizacja tych projektów wymagać będzie zachodnio-niemieckiego wkładu w wysokości 10 mld marek, łącz- nie z modernizacją urządzeń telekomu- nikacyjnych NRD, nad których stanem ubolewano ostatnio podczas wizyty mi- nistra poczty RFN w NRD. Rozważa się możliwość zarówno udzielenia NRD kredytów z poręką rządową, jak i nor- malnych rynkowych pożyczek banko- wych a także częściowe rozwiązanie sprawy kredytowania poprzez zgodę na więcej handlowych transakcji kompen- sacyjnych (towar za towar).

Sama wiadomość jest tylko pozornie sensacyjna. Nowością jest jedynie po- dana po raz pierwszy przybliżona wiel- kość oczekiwanych kredytów. Wiadomo bowiem, od dawna, że bez wydatnego wsparcia kredytowego ze strony RFN, realizacja wspólnych zamierzeń inwe- stycyjnych, począwszy od ochrony natu- ralnego środowiska po modernizację po- łączek komunikacyjnych, nie będzie moż- liwa do zrealizowania. Przedmiotem przetargów jest jedynie to, ile NRD otrzyma, w takich ramach i na takich warunkach. Sygnał z „Bildu” dotąd nie- zdementowany, potwierdza jedynie, że rozmowy na ten temat są zaawansowa- ne. (X)

Sprostowanie

W ogłoszonym w numerze 21 teście Leona Bukowieckiego pt. „XII Filmowy Gdyni” w skłapce szóstym po- winno być: „Nagroda za reżyserię dla Ta- deusza Chmielewskiego i za muzykę dla Jerzego Matysiaka” a nie: „Nagroda dla Leona Bukowieckiego”. Nagrodę za najlepszy de- biut otrzymał Waldemar Krzystek za film „W zawiązaniu” — nagrodę za najlepsze ko- stiumy — Elżbieta Radke (film „Luk Pro- ska”). Przepraszamy Czytelników i Autora.

REDAKCJA

KULTURA — SPOSÓB ŻYCIA?

Wiele zakładów pracy działalność kulturalną ogranicza do pośrednictwa w zakupie biletów na koncerty estradowe. Jakich propozycji kulturalnych oczekują pracownicy zakładów przemysłowych? Kto powinien finansować działalność placówek fabrycznych? Jak jest realizowana uchwała Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Zielonej Górze w sprawie udziału ludzi pracy w życiu kulturalnym regionu? M.in. na te pytania próbowaliśmy uzyskać odpowiedź od zaproszonych do redakcyjnej dyskusji przedstawicieli lubuskich zakładów pracy. Niestety, nie wszyscy, których oczekiwaliśmy, przyjechali. Niżej publikujemy fragmenty nieautoryzowanych wypowiedzi: Wiktor Grucy — I sekretarza Komitetu Zakładowego PZPR w „Zastalu”, Jana Jarosza — kierownika Zakładowego Domu Kultury „Mera-Lumel”, Jana Szachowicza — pracownika Komitetu Wojewódzkiego PZPR, Janusza Szymańskiego — sekretarza Komitetu Zakładowego PZPR w nowosolskim „Dozamecie” i Czesława Wójcika — zastępcy kierownika działu w Zielonogórskiej Spółdzielni Mieszkaniowej.

J. Szachowicz: — Wiele zielonogórskich imprez i instytucji artystycznych ma swój społeczny rodowód. Lubuski Teatr im. Leona Kruczkowskiego zrodził się z amatorskiego ruchu teatralnego kolejarzy i włóknarzy. Najpierw powstała Filharmonia Robotnicza, po-

tem Stowarzyszenie „Orkiestra Symfoniczna w Zielonej Górze”, które w 1957 roku uzyskało status instytucji państwowej. Do końca lat siedemdziesiątych zakładowe placówki kultury były dość aktywne w zaspokajaniu potrzeb społecznych ludzi pracy. Na początku lat osiemdziesiątych wiele kin, bibliotek, świetlic zamknięto, nieliczne przejęło państwo.

Obecnie w województwie zielonogórskim jest 21 placówek zakładowych, w tym 9 domów kultury. Większość wydatków na działalność kulturalną zakłady pracy pokrywają z funduszu socjalnego, np. Zagańska Czesalnia Welny — 900 tys. zł, „Romeo” w Zbąszczy — 110 tys. zł, „Polmo” w Koźuchowie — 2,6 mln zł, Zarskie Zakłady Przemysłu Bawełnianego — 4,5 mln zł, „Polska Welna” w Zielonej Górze — 493 tys. zł. Tylko 5 zakładów działalności kulturalnej finansuje z budżetu ogólnego, m.in. Nowosolska Fabryka Nici „Odra” — 3,5 mln zł, Lubuskie Przedsiębiorstwo Ceramiki Budowlanej w Gozdnicy — 800 tys. zł, PSS „Społem” w Żaganiu — 55 tys. zł.

Z badań naukowych prowadzonych także w naszym województwie wynika, że wielu robotników nie dysponuje czasem wolnym. Polak w wieku produkcyjnym ma do swojej dyspozycji 4,5 godziny czasu w ciągu doby. 1/4 zajmuje mu oglądanie programów telewizyjnych. Przez około godzinę słucha

radia. Pozostałe godziny spędza na czytaniu gazet, książek, odbywaniu praktyk religijnych, uczestnictwie w imprezach rozrywkowych. Chłopo-robotnik na dobrą kulturalną wydatkuje około 6 procent swoich dochodów, ale przez to do bra należy rozumieć także zakup telewizora, radia, a także opłaty za korzystanie z nich.

Z analizy przeprowadzonej w Wydziale Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Zielonej Górze wynika, że zakłady pracy coraz mniej środków finansowych przeznaczają na działalność kulturalną swoich załóg. Działalność ta jest również znikoma w czasie nauki młodzieży w szkołach zawodowych, które przecież kształcą podstawową kadrę dla fabryk.

W ubiegłym roku wojewódzka instancja partyjna odbyła plenarne zebranie na temat miejsca i roli kultury w zakładach pracy. Niedawno wspólnie z Wojewódzką Komisją Kontrolno-Rewizyjną odwiedziliśmy 30 fabryk, by przekonać się, czy i jak jest realizowana uchwała KW. Pytaliśmy, czy instancje zakładowe partii analizowały życie kulturalne ludzi pracy. Tylko w co piątym zakładzie partia dokonała oceny działalności placówek kultury i wytyczyła kierunki ich pracy. Niektórzy kierownicy zakładów odpowiadali, że są zainteresowani wyłącznie organizacją produkcji, a jeśli organizują imprezy, to z okazji świąt branżowych czy państwowych. Tłumaczyli to brakiem czasu, środków finansowych i kadry, nikłym zainteresowaniem robotników. Innego zdania byli przedstawiciele załóg.

ciąg dalszy na str. 4



Taki pejzaż

Halina Ańska

Jeszcze parę lat temu mieliśmy powody czuć się zdrowiej, niż mieszkańcy województw np. katowickiego czy łódzkiego. Dziś już wiadomo, że te lasy, które rymy szczyt Zielonogórski, i ta ziemia, której mamy więcej niż inni, nie są w stanie obronić naszych płuc przed zanieczyszczeniami.

Mamy bardzo niekorzystne położenie w stosunku do miejsc, skąd bierze się emisja zanieczyszczeń. Ale czy można by obecnie znaleźć jakieś miejsce na mapie — czyste i pod tym względem korzystne? Chyba nie. Tak czy owak — walą prosto na nas, nieustannie i całą siłą, fale trujących pyłów, m.in. z jednej strony od Turzowic, z drugiej od Schwarzwald w NRD. Umie rają lasy, degenerują się sady, zakażają się pola. Pyły osiadają na liściach, warzywach, owocach. Wdychamy je do oskrzeli i płuc.

W 1986 roku w samej Zielonej Górze skażenie tlenkiem azotu czterokrotnie przekroczyło dopuszczalną normę. Podobnie rzecz się ma z dwutlenkiem siarki. O innych truciznach lepiej nie wspominać.

Nie też dziwnego, że mnożą się zachorowania na choroby układu oddechowego — rozmaite bronchity, astmy, nieżyt, alergie, nowotwory... Czyste, zielonogórskie powietrze, to już sfera bajek. Teraźniejszość objawia się w zielonogórskiej przychodni astmatycznej przy ul. Podgórznej oraz na oddziałach pulmonologicznych i torakochirurgicznych wojewódzkiego szpitala. Z chorymi płucami ciężko się żyje. I ciężko się umiera...

Co rusz daje o sobie znać gruźlica, tym groźniejsza, że ostatnimi laty uznana za niebezpieczną, pokonana, nieobecna. Tak dalece nieobecna, że zaniechano obowiązkowych zdjęć rentgenowskich. Dawniej przy okazji takich kontroli, wypływające były wszelkie efekty oddychania, wszelkie cienie, plamy oraz inne powody do niepokoju. Te

raz, jak się dowiedziałam, na dziesięć osób ze skierowaniami do komisji TOP złożonej z torakochirurga, onkologa i pulmonologa, co najmniej pięć lub nawet więcej osób przychodziło za późno...

Oddychamy brudnym powietrzem, pijemy brudną wodę. Na wsiach ścieki z gospodarstw — z chlewików, obór, gnojówek spływają wprost do studzien. Brakuje oczyszczalni. Przeladowane i niedezynfekowane szamba są urągówkami w epoce laserów i komputerów. Do jezior i rzek spuszcza się miarowo i systematycznie trujące odchody z fabryk. Wydzierały ryby, zdychały inne żyjące w wodach istoty. (Czy ktoś w ogóle pamięta, że kiedyś bywały raki? Czy ktoś w ogóle wie, jaki smak ma zupa rakowa?)

Wysypiska nieczystości zamieniają się w wylewiska, zagrażając ogródkom i działkom warzywnym, jak np. wysypisko w Raculi, za cmentarzem. Dawniej śmieci i odpady palono. Dziś zwozi się je i zwała w wielkie hałdy, gdzie wszystkie paskudztwa pochodzenia organicznego i chemicznego kładą się, zagrażając zdrowiu człowieka i przyrody. Brak odpowiednich miejsc na te wielkie śmietniki, zwłaszcza we wsiach, to problem ogólnokrajowy.

Alarmujący jest stan publicznych szatni. Spośród 32 istniejących w województwie zielonogórskim, dwanaście należałoby zamknąć. Część zresztą jest zamknięta i nieczynna z różnych względów.

Miejsce oznaczone dwoma zerami kojarzy się u nas nieodmiennie z brudem i smrodem. Choćby się przejechało całą Polskę wszędzie i widać, nie spotka się parkingu z suchą, zamkniętą i pachnącą toaletą, jak to ma miejsce np. w NRD. Straszna „sławojki” z powyrzwanymi drzwiami, tak zanieczyszczone i pozalane, że często nie ma gdzie postawić nogi. Toaletom płatnym, w klubach, restauracjach i innych miejscach publicznych, też daleko do ideału. Mydło, ręcznik, serwetka, nie mówiąc już

o papierze toaletowym, wszystko to na leży do luksusu.

Brak środków czyszczących, myjących, usuwających zaryzki i zle zapachy oraz brak takich urządzeń, jakie widzi się w sąsiednich krajach (np. szczotek gumowych z polewaczkami, rozmaitych przyssawek, wywabiaczy, aparatów do areosolu itp.) nie jest najwęższym ziemi. Można przecież robić porządek przy pomocy kuba i ścierki. Go rzej, że brakuje ludzi do pracy. Podobno gospodarze parku w Wolsztynie długo nie uruchamiali szatni z braku babci kłopotowej.

Zastępcą wychodząca ustępy w szkołach. Jak uczyć dzieci i młodzież podstawowych zasad zachowania, gdy w toaletach nie ma papieru toaletowego? — mówią pedagodzy. Psują się ścieki, skonstruowane sprzeczki, szybko się dewastują inne urządzenia. Paradoxi! — szkoły dostarczają do składnic makułaturę i są to ilości olbrzymie, liczące się w tonach. Podczas gdy indywidualny dostawca za swoje gazety i papiery oddane w punkcie skupu, ma prawo kupić kilka rolek papieru, to prawa tego nie mają szkoły! Jak to wytłumaczyć dzieciom?

Woda obok powietrza jest drugim czynnikiem chorobotwórczym. Sanepid z całą powagą przestrzega przed piciem wody nieprzepracowanej. Nie wolno pić wody prosto ze studni lub kranu! Ma to tego. Aby woda nadawała się do picia i nie zagrażała zdrowiu człowieka, trzeba ją nie tylko przegotować, ale od momentu wrzenia gotować przez dziesięć minut! Stan wodonośnych warstw ziemi, tak fatalny w tej chwili, pogarsza się z roku na rok, właśnie na skutek przenikania ścieków oraz zanieczyszczonych ujęć wodnych i brudnych studni. Spośród 22 miejscowości w województwie zielonogórskim, zagrożonych powodziami, tylko pięć posiada wodociąg. Co może się dziać w przypadku powodzi, nie trudno sobie wyobrazić, zwłaszcza, że jak wskazują dane Sanepidu, studnie to tylko w 33 procentach dają wodę zdatną do spożycia.

Zawstydzająco nisko stoi nasza oświata sanitarna. Wiele stołówek, sklepów, barów i restauracji funkcjonuje na baki z higieną. Także w naszych do-

ciąg dalszy na str. 5

REWOLUCJA PAŹDZIERNIKOWA A POLSKA I POLACY

Antoni Czubicki

Revolucja Październikowa odbiła się głośnie echem w całym świecie. Szczególny wpływ wywarła na społeczeństwo polskie.

Spółczesność to było szczególnie predystynowane do wystąpień rewolucyjnych. Już w końcu XVIII wieku walcząc w obronie, zagrożonej przez trzy sąsiadujące z Polską mocarstwa, suwerenności i integralności państwowej Polacy dokonali reform ustrojowych i sformułowali program wysoko oceniany później przez Karola Marksa, Likwidacja państwa i podział ziem polskich pomiędzy Austrię, Prusy i Rosję spowodowały umocnienie sił reakcyjnych w Europie. Polskie dążenia do odbudowy państwa narodowego stanowiły natomiast czynnik wzmagający siły i procesy rewolucyjne w Europie. Polacy brali udział niemal we wszystkich wystąpieniach rewolucyjnych Europy XIX wieku głosząc hasło: „Za Waszą i naszą wolność”. Wystąpienia te znalazły też uznanie i poparcie wielu ośrodków rewolucyjnych. Wysoko oceniali je twórcy naukowego socjalizmu. Polacy odegrali też poważną rolę w działalności I i II Międzynarodówki. Z chwilą powstania partii socjaldemokratycznej w Rosji rewolucjonści polscy podjęli z nią współpracę. Rewolucyjna partia polskiego proletariatu: Socjaldemokracja Królestwa Polskiego i Litwy (SDKPiL) weszła w skład Socjaldemokratycznej Partii Robotników Rosji (SDPRR). W walce, jaka toczyła się w łonie SDPRR o rewolucyjny program i rewolucyjną taktykę działania, rewolucjonści polscy popierali na ogół bolszewików z Leninem na czele. Odmienne stanowisko zajmowała Polska Partia Socjalistyczna. Ekspozowała ona dążenia do niepodległości. Podejmowała współpracę z rewolucjonistami rosyjskimi, ale przy zachowaniu samodzielności organizacyjnej.

Udział Polaków w Rewolucji Październikowej i wojnie domowej

W 1917 r. ziemie polskie znajdowały się pod kontrolą Austro-Węgier i Niemiec. Społeczeństwo polskie było bardzo zróżnicowane pod względem społecznym i politycznym. Ziemie polskie miały nadal na ogół rolniczy charakter. Przemysł był słabo rozwinięty. Wojna światowa spowodowała poważne zniszczenia materialne i straty osobowe. Część urzędów fabrycznych została wywieziona do Rosji, a część do Niemiec. Władze carskie wcieliły do armii rosyjskiej około 600 tys. Polaków. Część robotników została ewakuowana wraz z zakładami pracy do Rosji. W różnych ośrodkach przemysłowych Rosji już przed wojną osiedliło się wielu Polaków. Tylko w Petersburgu w 1914 r. mieszkało ich około 80 tysięcy. W czasie wojny w Rosji znajdowały się też tysiące Polaków — jeńców wojennych z armii austriackiej i niemieckiej. Szacuje się, że w 1917 r. na terenie Rosji przebywało łącznie około 3,5 mln. ludności polskiej. Ludność ta, wraz z innymi narodami carskiej Rosji, buntowała się przeciw caratowi. Żądano przerwania wojny, poprawienia zaopatrzenia, demokratyzacji stosunków, a także rozwiązania nabrzmiałej kwestii narodowej.

Część ludności polskiej w Rosji pragnęła rozbić carskie więzienie narodów i stworzenia warunków umożliwiających odbudowę niepodległego państwa polskiego. Ludność ta, po obaleniu caratu, sympatyzowała z burżuazyjnym Rządem Tymczasowym, tworzyła własne polskie oddziały zbrojne i zwalczała siły rewolucyjne.

Część natomiast nie ograniczała się do wysuwania postulatów o charakterze narodowym, lecz żądała daleko idących zmian społecznych i politycznych. Bardziej uświadomieni klasowo robotnicy polscy wchodzili w skład partii bolszewickiej. W skupiskach polskich w Rosji działały grupy lokalne polskich partii socjalistycznych, a mianowicie: Polska Partia Socjalistyczna, Polska Partia Socjalistyczna Lewica (PPS Lewica) i SDKPiL.

Pomiędzy historykami radzieckimi i polskimi toczy się spór na temat liczby Polaków biorących udział w tych wydarzeniach. Historycy radzieccy raczej zaniżają ilość polskich żołnierzy Rewolucji. Większość z nich do 1917 r. była bowiem obywatelami państwa rosyjskiego. Trudno ich było wobec tego zaliczyć do grupy tzw. internacjonalistów. Do oddziałów internacjonalistów zaliczano na ogół polskich jeńców wojennych z armii niemieckiej i austro-węgierskiej. Tych było mniej.

Natomiast historycy polscy do grupy rewolucjonistów polskich tj. internacjonalistów zaliczają wszystkich Polaków biorących udział w Rewolucji i wojnie domowej, bez względu na to, jakie posiadali oni obywatelstwo. Wg. szacunkowych obliczeń przyjmuje się, że bezpośredni, aktywny udział w Rewolucji a następnie w wojnie domowej po stronie bolszewików brało około 100 tys. Polaków. Wielu z nich poległo. Z tych, którzy przeżyli, część pozostała w ZSRR, a część w latach 1921-1922 powróciła do Polski.

Echa rosyjskich wydarzeń rewolucyjnych w Polsce

Już obalenie caratu w marcu 1917 r. spotkało się z dużym rezonansem w Polsce. Fakt ten przyjęto z powszechnym uznaniem i aplauzem w całym kraju. Carat nie miał u nas sympatyków ani obrońców. Z wielkim uznaniem przyjęto też deklarację Piotrogrodzkiej Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich z 27 II 1917 r. w sprawie polskiej. Prasa polska pisała dużo o roli Rządu Tymczasowego i rad, o walce z głodem i wojną, o zmaganiami różnych sił w Rosji. Stopniowo coraz więcej pisano także o programie bolszewików i Leninie. Cenzura niemiecka kontrolowała prasę. Niektóre informacje i komentarze konfiskowano. W komentarzach tych wydarzeń w Rosji analizowano z jednej strony z punktu widzenia polskich dążeń narodowowyzwoleńczych a z drugiej — z punktu widzenia przemian ogólnoeuropejskich.

Obalenie Rządu Tymczasowego i przejęcie władzy przez masę pracującą Rosji przyjęto w Polsce w sposób bardzo zróżnicowany. Nie ukrywano podziwu dla bolszewików i Lenina. Wprawdzie niewielu ludzi zdawało sobie wówczas sprawę z historycznego znaczenia tego faktu, jednak obalenie panowania burżuazji, przejęcie władzy przez rady, nacjonalizacja przemysłu, przekazanie ziemi w ręce chłopów, znalazły uznanie większości społeczeństwa polskiego. Decyzje te krytykował tylko nieliczni przedstawiciele klas posiadających, głównie ziemian. Z drugiej strony ujawniano obawy czy odpadnie Rosji nie osłabi Ententy i nie przeludzi zmagań wojennych w Europie. Ze szczególnym zainteresowaniem dyskutowano na temat rokowań pokojowych w Brześciu. Podpisanie 9 II 1918 r. układu z Centralną Radą Ukraińską spowodowało bunt w Polsce.

Do tego czasu część konserwatystów polskich zachowywała jeszcze lojalną postawę wobec Austro-Węgier i Niemiec. Państwa te proklamowały utworzenie Królestwa Polskiego, wyraziły zgodę na powołanie kontrolowanego przez nich rządu polskiego i przystąpiły do tworzenia uzależnionej od Niemiec armii polskiej. Informacje o przekazaniu ziem spornych nacjonalistom ukraińskim spowodowały dymisję rządu Jana Kucharzewskiego i bunt oddziałów wojskowych, które przeszły na drugą stronę frontu do Rosji. Przez Polskę przetoczyła się fala wieców i demonstracji o antyniemieckim charakterze. Współpracujące z Niemcami grupy konserwatywne zostały ostatecznie skompromitowane.

Spółczesność polskie zajęło w całości postawę antyniemiecką. Szerzyły się nastroje buntownicze. Żołnierze polscy zaczęli dezertować z armii niemieckiej i austriackiej. Rozwijała się szybko konspiracyjna Polska Organizacja Wojskowa. Chłopi odmawiali płacenia podatków i realizacji dostaw żywności. Bunt ogarnął przede wszystkim okupowane przez Niemcy i Austrię ziemie polskie zaboru rosyjskiego. Znaczące ożywienie wystąpiło również w społeczeństwie polskim zaboru pruskiego, ale tutaj ruch ten aż do listopada 1918 r. miał jednak konspiracyjny charakter.

Przewrót w Polsce jesienią 1918 r.

Idee Rewolucji Październikowej ogarniały coraz szersze grupy ludności polskiej. Latem 1918 r. do okupowanej Polski przenikali z Rosji emisariusze SDKPiL, PPS Lewicy i PPS. Przekazywali oni informacje i zadania. Jednocześnie z Łodzi, Warszawy i Zagłębia Dąbrowskiego niektórzy działacze przekradali się do Rosji. Nastąpiło zwiększenie przepływu niekontrolowanych przez okupantów informacji i wymiany poglądów. Wszystko wskazywało na to, że dążenia rewolucyjne ulegną wzmocnieniu.

ciąg dalszy na str. 4



KRZYK

Szedł chwiejnie wieczorną ulicą. Pod butami nasycenymi listopadową deszczówką, szeleściły opadłe liście. Od stóp przenikało go zimno aż po kark. W głowie szumiał mu gwar podwórka, z przebijającą się ostro czkawą chłopaków i skrzypliwym śmiechem dziewczyn. Zostawił ich tam, pod garażami, a sam powłócił się za Lilianą. Gdzie jesteś, wróć!

Przed chwilą, a może przed godziną, tego nie mógł sobie przypomnieć, kiedy siedział tam, z nimi, zjawiała się nagle, jasna, czysta i zbyt piękna w tym ponurym miejscu. Wyciągnęła rękę i powiedziała: — Chodź! Nie usłuchał, więc powtórzyła: — Chodź ze mną! Teraz już posłusznie podniósł się i chciał dotknąć dłoni dziewczyny. Ale jego ręka ciężka była jak kamień. Spojrzał — i stwierdził, że w ręce trzyma prawie pełną jeszcze butelkę wina. O nie, nie ruszy się stąd, dopóki nie wypije do dna!

Liliana odwróciła się i powoli odeszła w ciemność, a on został z butelką w ręce, wśród kolegów. Mimo to był samotny... Napłynęły nagle uczucia krzywdy, buntu, złości... Nie myśląc wiele, zamiast przywrzeć ustami do butelki, trzasnął nią z całej siły... Wino zapachniało ostro i dało się wessać ziemi. — Rozbite szkło, rozbite życie — przemknęło mu przez myśl.

Idzie teraz niepewnym krokiem i dziwi się, Liliano nie ma i może nigdy nie było. Jest tylko on, mokra ciemność

i ta ulica, której nawierzchnię zrobiono z gumy. Zastępują mu drogę odrapane budynki, jakieś drzewa, jacyś ludzie. Wszystko jest szare, śliskie, twarde ludzi niezadowolonych. Wie jedno. Za musi posuwać się do przodu. Nie jest to łatwe, ponieważ ziemia co chwila zmienia położenie, więc coraz trudniej jest utrzymać ciało w pozycji pionowej...

Już jest blisko celu. Byleby wszedł do bramy, a dalej choćby na czworakach. Drzwi otworzy matka i nie zawoła ojca, żeby go nie martwić. Najgorsze będą to badawcze, uważne i wyciekające oczy psa... Wejście, może wpełźnie, ale za progiem jakos się wyprostuje i wszystkich po kolei przeprosi — Matko, wybacz — powie. — Nie gniewaj się ojcie! A ty mój psie, kochaj mnie, jak ja cię kocham i połów się, bo trzeba mi ogrzać zziębnięte nogi... Jak zawsze położy się z pomocą matki. W radio będzie szła „muzyka nocą”. Szybko spadnie ciepły sen... A rano... Rano będzie inaczej. Będzie dobrze. Przysięgnie, że od tego nowego dnia rozpocznie nowe życie. Te ręce nie sięgną już nigdy po flachę. Nie zadrzą. Nigdy więcej — awantur, bełkotu, wymiotów, ślinienia. Nigdy!

Nagle potknął się i upadł. Żeby nie wyrzucić głową o krawężnik, podparł się łokciem. Ale łokieć zjechał po zwilgotnionych liściach... Nie wie jak długo leżał wyciągnięty płasko, jak deska. Słyszał jakieś głosy, czuł czyjeś ręce. Potem warkot silnika... Znow, kolejny raz, zgarbiony go gliny. Wprost z ulicy, jak wielki śmiech. Załadowany został do milicyjnej nyski, dostarczony do Raculki i tam wyladowany. Bezładny, bezwolny. Spity do nieprzytomności.

Obudził go poranek. Przecisnął się przez kraty i siatkę w oknie, i rozkazał: — A teraz krzycz! Zaczął więc krzyczeć, głośno, coraz głośniej, coraz przeraźliwiej. Krzyczał nie słowami, lecz myślami, a myśli przecięły się nieme. Dlatego nikt nie usłyszał jego krzyku. Ani tego sanitariusza zajądającego śniadanie, ani reje-stratorka parzącego sobie pierwszą kawę. A on krzyczał dalej...

ROMAN SZCZĘSNY

Ciąg dalszy ze str. 3

mach, gdzie rozmawia się przy herbach często o filmach video, nie wie się, że przed zasiadaniem do stołu trzeba umyć ręce. Straszą choroby brudnych rąk, niedomytych naczyń, niewyparzonych wrzątkiem sztućców. Większość osób przygotowujących pożywienie, lek ceważy sobie, przypominane przecież od dawna, ostrzeżenie przed bakteriami na skorupkach jajek!

Statystyka jest smutna. Od 1 stycznia do 31 sierpnia 1986 r. tylko w województwie zielonogórskim stwierdzono 120 przy padków zatrucia pokarmem. W tej liczbie 103 zatrucia spowodowały pałeczki salmonelli, dwanaście zatruc — gronkowce i pięć — jad kiełbasiany.

ukręconego łyżką, która wcześniej używana była do nakładania pokrojonych, surowych żeberek...

W Kosobudzu i Łagowie trzeba było ratować 131 osób, które wcześniej zjadły ciastko wyprodukowane przez piekarnię łagowskiej Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska”...

Leniwi dozorczy i niechlujni lokatorzy. Niszczenie mienia państwowego. Do było społeczne traktowane jak niczyje. W nieprzewietrzanych składach, się chłła mąka. W torbach z cukrem ślady sztucznego nawozu. Skisłe sery, podejrżane otręby. Drobne kradzieże, małe bimbrownie — duże problemy.

Margines społeczny, zataczający coraz wyraźniejsze kregi. Ludzie jak z innego

raz otaczającej go przyrody, wypłynęły znow po roku i znow stały się przedmiotem troski organizatorów akcji „Po sesja”.

Akcja ma terminy, etapy, jest szczegółowo rozpisana, podzielona na tematy, strefy, grupy. Udział w niej przede wszystkim milicji, także Sanepidu — oraz wielu stowarzyszeń, ugrupowań, placówek itp., gwarantuje rezultaty.

Akcja poprzedzona została naradą wojewódzką jeszcze we wrześniu — i zapewne taką samą naradą się zakończy. Zrobi się podsumowanie, z wyliczeń osób winnych zaniedbań i ukaranych oraz z podaniem liczby mandatów, kolegów, nakazów. Statystyka zrobi swoje — i znow sprawy się odda, do następnego etapu, do następnej akcji.

Tymczasem Zielona Góra kiedyś piękna, zielona, miasto w wieńcu lasów, który inne miasta nie mają, zamienia się coraz bardziej w śmierdzącą, brudną nieckę. Pod stopami zatrutą ziemią, w kranie woda z zaskakami, nad głową powietrze, którym strach oddychać.

Nic nie stało się nagle, toteż nie nagle nie odstanie się i nie zmieni. Degradacja środowiska naturalnego postępuje od lat, nie tylko w zielonogórskim regionie. Trzy żywioły — woda, ziemia i powietrze, niszczone przez człowieka, protestują. Jeśli cywilizacja nie przerwie swego pędu przeciwko prawom natury i przeciwko przyrodzie, konsekwencje będą bardzo tragiczne. Już są.

Potrzebne są nie tylko akcje, ale wielki program — narodowy, krajowy, społeczny! Generalny odwrót od tego — co się dzieje. Dlatego nie wiążę zbyt wielkich nadziei z akcją „Posesja”. Na wet, gdyby wszystkie stróżki, babce kłozetowe i salowe w szpitalach otrzymały najwspanialsze sierki z czystej bawełny i najcudowniejszy, granulowany proszek o cytrynowym zapachu, na wet gdyby ukłękli i przysięgli poprawie wszyscy trucieli, nawet gdyby każde dziecko w szkole miało rolkę papieru toaletowego na tydzień, akcja, jak wszystko, co jednorazowe, na hasło, na zawołanie, niczego nie zmieni.

HALINA AŃSKA

Festiwal Piosenki Radzieckiej w Zielonej Górze ma już ponad 20-letnią tradycję. Każdego roku jego laureaci zapraszani są do Związku Radzieckiego i występują w popularnym programie telewizyjnym „Szerzej zatoczmy krag”. Do Zielonej Góry w czasie festiwalu przyjeżdżają znani radzieccy wykonawcy, ale także pisarze, plastycy, kompozytorzy i działacze kultury.

Z Zieloną Górą zaprzyjaźniony jest Witebsk i kontakty obu miast owocują każdego roku wspólnymi wystawami, plenerami, spotkaniami i seminariami. Mało kto wie, że w obwodzie witebskim na Smoleńszczyźnie, co dwa lata odbywa się Festiwal Polskiej Piosenki. Dotychczas była to impreza lokalna. Organizatorzy nie dysponowali nowym repertuarem, brakowało instruktorów, dominowały ludowe piosenki i stare przeboje, które w Polsce już dawno poszły do lamusa.

Od przyszłego roku będzie inaczej. Festiwal staje się imprezą wszechstronną. Eliminacje będą się odbywać we wszystkich republikach, także w Azji, a finał nastąpi w lipcu w Witebsku, gdzie powstaje duży amfiteatr na 15 tys. miejsc. Przebywający w naszym kraju kompozytor, wiceminister kultury ZSRR Wacław Kazeńin, który był gościem zielonogórskiego festiwalu, powiedział: „Macie wspaniałe wieloletnie tradycje w organizowaniu tej imprezy i powinny one być prezentowane do nas, do Witebska. Myślę, że festiwal będziemy przygotowywać wspólnie z naszymi polskimi przyjaciółmi, którzy podzielili się z nami doświadczeniami. Chcemy, by ten festiwal stał się świętem polskiej piosenki i światem naszej przyjaźni”.

Podczas festiwalu w Zielonej Górze prezes ZAKR-u Janusz Sławiński przekazał m.in. Kazeńninowi pierwszą partię (łącznie 800 minut) nagranych tzw. instrumentalnych półplay-backów największych przebojów polskiej muzyki rozrywkowej. Strona polska zadeklarowała ponadto wszelką pomoc organizacyjną. Jaką formułę będzie miał ten festiwal, czy będzie podobny do zielonogórskiego, jeszcze nie wiadomo. Chcemy, podobnie jak gospodarze, by wypadł okazale. Będzie to pierwszy w ZSRR festiwal piosenki obcego kraju.

REWOLUCJA PAŹDZIERNIKOWA A POLSKA I POLACY

Ciąg dalszy ze str. 4

Rosji i interwencję zbrojną państw kapitalistycznych. Społeczeństwo polskie w latach tych nie było zorientowane i nie udzielało im zbyt szerokiego poparcia. Wojnę traktowano jako walkę o granice odradzającego się państwa. Nawążywano do tradycji przedrozbiorowych. Natomiast strona radziecka wojnę dość jednostronnie traktowała jako kolejny 14 pochód Ententy przeciw rewolucji rosyjskiej. Odradzającą się Polskę traktowano jako marionetkę w ręku imperializmu francuskiego, jako taran antyradziecki, jako ostrze antyradzieckiego systemu wersalskiego itp. „Wiemy, że ofensywa Polski — mówił Lenin 5 XI 1920 r. — to szczytki starego planu, który niegdyś jednoczył całą międzynarodową burżuazję”.

Tymczasem wojna polsko-radziecka była z jednej strony wojną o granice odradzającego się państwa polskiego, z drugiej o powstrzymanie przenikających nadal z Rosji idei i tendencji rewolucyjnych. Tendencje te były dla rządu polskiego bardzo niebezpieczne. Polska mogła w okresie tym spełniać rolę pomostu umożliwiającego siłom rewolucyjnym przeniknięcie ze Wschodu na Zachód lub tamy blokującej rewolucję. Burżuazja polska miała pełną świadomość tego faktu. Po jej mowach ona wojnę nie czekając na stanowisko Ententy i Ligi Narodów. Ofensywa Pilsudskiego w 1920 r. podjęta została bez zgody i pomocy państw zachodnich. Kontrofensywa radziecka odparta została również bez poważniejszego zaangażowania państw zachodnich.

Szturm Armii Czerwonej na Warszawę w sierpniu 1920 r. spowodował daleko idącą izolację KPRP i umocnienie wpływów burżuazji w Polsce. Tymczasem rewolucjoniscy polscy w Rosji i przywódcy radzieccy sądzili, że Pilsudski realizuje plany imperializmu francuskiego wbrew stanowisku polskich mas pracujących.

„Gdyby Polska stała się radziecką, robotnicy warszawscy otrzymaliby od Rosji Radzieckiej pomoc, na którą czekali i którą z radością witali — mówił Lenin. — Pokój Wersalski zostalby rozbity i cały system międzynarodowy, ustanowiony dzięki zwycięstwu nad Niemcami runąłby...”

Z badań wynika, że większość robotników polskich nie czekała na pomoc Armii Czerwonej i nie witała jej z radością. Mimo wielokrotnych zapewnień władz radzieckich głoszących, że Armia Radziecka nie występuje przeciw państwu polskiemu lecz tylko przeciw rządowi burżuazji polskiej, społeczeństwo polskie w zdecydowanej swej masie traktowało ją wrogo. Klasowa interpretacja genezy i charakteru wojny w 1920 r. w Polsce nie przyjęła się. „Armii Czerwonej, która szła na Warszawę pod hasłami wyzwolenia społecznego — pisał Z. Żaturski — która wyciągnęła rękę do klasowych braci robotników polskich, nie powitały na warszawskich rogatkach bramy triumfalne. Było to niewątpliwie dla rewolucjonistów rosyjskich poważnym zawodem. O sprawie tej mówiono i pisano wiele w 1920 r. i jeszcze długo później. Mądrze analizowano przyczyny lecz przywódców egzystując obok utrwalających się wrażeń i odczuć, które składają się na poglądy ludzkie”.

Zresztą Lenin podkreślał również wieloaspektowy charakter wojny 1920 r. „I Rosja Radziecka — mówił on — wystąpiła w lecie 1920 r. nie tylko jako siła broniąca się przed przemocą, przed natarciem polskich białogwardystów, wystąpiła ona w rzeczywistości jako siła światowa, zdolna do zburzenia Traktatu Wersalskiego i do wyzwolenia setek milionów ludzi w większości krajów świata”. Podejmując decyzję o kontrofensywie i o wkroczeniu na teryt. etnicznie polskie, władze radzieckie planowały przede wszystkim działania przeciw systemowi wersalskiemu w Europie. Polska była tu traktowana w sposób niejako drugorzędny.

„Zblizenie się naszej armii do Warszawy — mówił Lenin — dowiodło bezpośrednio, że gdzieś niedaleko od niej znajduje się środek ciężkości systemu światowego imperializmu wspierającego się na Traktacie Wersalskim. Polska, ostatecznie twierdzą przeciw bolszewikom, znajdującą się całkowicie w rękach Ententy, jest tak potężnym czynnikiem tego systemu, że kiedy Armia Czerwona zagroziła tej twierdzy — zachwiał się cały system”.

Lenin liczył przede wszystkim na położone w centrum Europy, pokonane i uzałężnione od państw zwyciężczych Niemcy. A Polacy obawiali się imperializmu niemieckiego. Na tym tle trudno im było też dojść do porozumienia z rewolucyjną Rosją. Tworzone w tych warunkach Tymczasowy Polski Komitet Rewolucyjny (TPKR) w Białymostku nie mógł liczyć na zrozumienie i poparcie ogółu społeczeństwa polskiego. Społeczeństwo to atak Armii Czerwonej na Warszawę latem 1920 r. uważało za zagrożenie z trudem osiągniętej niepodległości. Udzieliło ono wsparcia rządowi i wodzowi naczelnemu. Młodzież pospieszyla ochotniczo do wojska. Armia Ochotnicza w ciągu kilku tygodni osiągnęła 104 tys. osób. Załamanie się ofensywy Armii Czerwonej pod Warszawą w sierpniu 1920 r. spowodowało stabilizację systemu burżuazyjnego nie tylko w Polsce ale i w całej Europie na całe 20 lat. Wojna ta odegrała szczególną rolę w skali ogólnoeuropejskiej. Tym bardziej odnosi się to do sytuacji w Polsce i do stosunków polsko-radzieckich.

Wojna spowodowała znaczne straty osobowe oraz materialne po obydwóch stronach frontu. Władza radziecka traktowała ją jako ogień wojny interwencyjnej burżuazyjnej Europy przeciw rewolucji. W Polsce traktowano ją jako próbę ponownej likwidacji odrodzonego po 123 latach niewoli samodzielnego państwa polskiego. W Polsce wojna spowodowała znaczny wzrost nacjonalizmu, klerykalizmu i konserwatyzmu. Obrosła legenda. Tradycyjne w Polsce nastroje internacjonalistyczne i rewolucyjne uległy przekształceniu w swoje przeciwieństwo. „Fundamentem światopoglądu wyniesionego z pól bitewnych roku 1920 — pisał Z. Żaturski — był przede wszystkim strach... Strach o bardzo różnej treści i obliczu... Był to strach przed ślepym żywiołem, obalającym wszystko, co znane, swoje, strach przed bezlitosną potęgą potopu...”. Był to strach mieszczaństwa przed rewolucją, która „zaprezentowała się w Polsce w 1920 roku niewątpliwie ze strony najmniej pociągającej”.

Ze strachu przed rewolucją zrodziła się niechęć do państwa Rewolucji, do Rosji Radzieckiej. Niechęć tę utrwaliła świadomość tworzona legenda 1920 roku. Trudno było ją przezwyciężyć.

Po drugiej stronie frontu było podobnie. Wojna 1920 r. stanowiła poważne zagrożenie dla osiągniętej Rewolucji. Spowodowała mobilizację setek tysięcy ludzi. Była to największa z wojen interwencyjnych. Brało w niej udział około miliona ludzi. Kontrofensywna i interwencyjna debata Polaki analizowano na tle rosnącego w Europie Zachodniej ruchu „Rece przez od Rosji”. Polskę oceniano szczególnie krytycznie. W odróżnieniu od przebywających w Rosji Radzieckiej rewolucjonistów, polskich przeciwników Rewolucji nazywano w Rosji „białopolakami”. „Termin „białopolacy” — pisał Żaturski — był początkowo terminem służącym rozróżnieniu między prawdziwymi Polakami a Polską kontrofensywną. Im bliżej Wistły, tym „białopolaków” okazywało się więcej... Na przedpolach Warszawy rodziło się przekonanie, że innych po prostu nie ma”. Stereotyp „białopolaka” przetrwał w ZSRR wiele lat.

Doświadczenia wojny 1920 r. zaciężyły poważnie na świadomości obu narodów. W Polsce spowodowały na długi czas osłabienie wpływów i znaczenie ruchu rewolucyjnego i tendencji internacjonalistycznych.

Wojna polsko-radziecka 1920 r. zamyka okres wojen interwencyjnych w Rosji i przypływu fali rewolucyjnej w Europie. Wraz z załamaniem ofensywy Armii Czerwonej pod Warszawą załamaniu uległ ruch rewolucyjny we Włoszech, w Niemczech, w Anglii i we Francji.

W Europie stabilizowały się porządki burżuazyjne. Reasumując należy stwierdzić, że stosunek społeczeństwa polskiego do Rewolucji Październikowej i jej skutków był bardzo złożony. Opinia publiczna w Polsce przechodziła zmienną ewolucję od początkowego uznania i poparcia sił rewolucyjnych do krytyki a następnie zwalczania rewolucyjnego państwa radzieckiego.

Szczególną rolę w ewolucji nastrojów i poglądów spełniła wojna 1920 r. Miała ona bardzo złożony charakter. Spowodowała powstanie wielu stereotypów. Niektóre z nich przetrwały do dnia dzisiejszego. Polacy spełnili znaczną rolę w Rewolucji i wojnie domowej wspierając siły rewolucyjne. W 1920 r. większość z nich walczyła jednak przeciw Armii Czerwonej i Rosji Radzieckiej. Wojna spowodowała znaczne osłabienie sił rewolucyjnych w Polsce i w Europie. Znamiennym jest fakt, że tylko część polskich bojowników rewolucji po powrocie z Rosji do Polski znalazła drogę do partii komunistycznej. Znaczna część do partii nie wstąpiła i działalność rewolucyjną nie kontynuowała. Problem ten czeka jednak jeszcze na szczegółowe badania.

ANTONI CZUBIŃSKI

Witebsk — stolicą Polskiej Piosenki w ZSRR

Zamiast grzybobrania opowieść o czerwonych bukach

ciąg dalszy ze str. 1

Ruskie także. Dzielili my się zarcim. W Sielcach była Wasilewska, Berling. Piszą o tym w historii. Wszystkiego nie piszą, bo to niemożliwe. W armii był ja zwykły kościuszkowiec. Chrzest bojowy pod Lenino przeszedł. O tym piszą. Co tam widział ja, co przeżył, strach opowiedzieć...

Koła furki podskakują na wybojach. Głos Antoniego jest donośny. Echo słów błąka się po lesie i powraca. Niski pulap burzowych chmur przysłania do ziemi. Nie ma czym oddychać. W konskim pysku zakwita biały kwiat piany.

— Potem miał ja lepiej... Pyta pani jak w Sielcach było. Jak usłyszał tam polską mowę, to się mnie wydało, że w swojej Małopolsce jestem i że wiem swoją rodzinną widzę. A jak przysięgę składał ja, męla na oczy nasza-izy po polikach spływały. Myślał ja: toż to chwila uroczysta, ale żeby jak dziecko ja płakał?... Patrzaj pani, cały szlak bojowy przeszedł i przeżył. Nie do wiary, że przeżył. Pod Lenino z naszego batalionu zostało tylko kilka chłopów. A mnie się udało Widać sądzono mnie było żyć... Widział ja śmierć, trupy oblane krwią, czerwone niby te moje buki. Albo jeszcze czerwienie, poszarpane, pomiażdżone. Nu, ale później poszli my za Bug. Co za radość! Byli my na polskiej ziemi. Ludzie witają nas kwiatami. Chlebem, cieszą się. I my też proste żołdacy cieszyli się. Ale potem znowu mnie było smutno pod Warszawą. Nu, Warszawa się pali, giną powstania, a siedzimy my za Wisłą. Pło nie serce naszej matki, nie można pomóc. Ot, masz matkę, ale bez serca, bo je wyrwano i spalono. Przeżył ja to bardzo. Niemcom poprzysiągł zemstę i gnał go do samego Berlina. Tak, takie były to czasy. Ale przeżył. Przeżył ja też tę pierwszą wojnę, ale wtedy był za mały, żeby strzelać. Teraz jest dobrze, bo nie ma wojny. Nie trzeba umierać. Pr. Kobyla, stoj jaśnista, bo my już na miejscu!

Czerwone buki tworzą monumentalne tło krajobrazu. Rozrośnięte drzewa swymi konarami dotykają niskich chmur. Na tym tle barakowóz Ankudy wydaje się być irracjonalnym domkiem dla karłów. Stojąca naprzeciw obórka jest zaledwie lupinką orzecha. Ruiny starej leśniczówki wrosły w ziemię. Stary Ankuda prowadzi Kobylę do obórki. Po chwili staje przed nami wielki i kościsty, czuje się od niego zapach końskiej sierści. Zaczyna padać deszcz.

— Nu, zapraszam do środka, do swojej budy. Tam w suchoci i przy gorącym czaju przeczekamy. A może jeszcze trochę pogaworzymy, bo ja mocno spragniony pogawędkę. Ot, czasem przyjdzie ktoś taki, niechęć natknąć się na moje gniazdo, a ja mu opowiadam o lesie, o zwierzęciu leśnym... O życiu w lesie... Wam też opowiem, bo co w czasie deszczu robić? Grzybów szukać?... Nu, tak stanał ja w swoim opowiadaniu na tym jak doszedł do Berlina. Widział po drodze dużo. A po wojnie przeniesli mnie z wojska do UB-e. Był ja tam ledwie trzy miesiące, bo co tam miał robić? Rewizje wykonywać, chodzić po chałupach, bim-

browników łapać? Pomyślał: nie dla ciebie ta robota, bo ty przecież las ukochał, jeszcze tam na Syberii i prędeje... Napisał prośbę o zwolnienie. Akurat trafił ja z tym pismem na swe go dowódcę z wojska, to zgodę podpisał on i wysłał na kurs leśny. Został się ja leśniczym. Pracowałem odtąd ciężko, poruszał się przeważnie na własnych nogach. Lasy sadził, drzewo ciął. Ze swoją flintą się nigdy nie rozstawał. Ach, na polowanie przyjeżdżał do mnie nie wiadomo skąd. Jak pod prowadził ja na zwierza, tak dają słowo nikt nie potrafił. Zwyczajnie leśnych zwierząt trudno znać. A znał ja. A jak strzelał ja!... Jak to było z moim kaszankiem? Nie musowo było o tym pytać, toż mnie głupio o asybiec gadać. Ale, niech. Nu, było tak: Wyszli ja w tę porę, znać się nocą, za swoją za przeproszeniem potrzebą. A przed chałupą, ta murowana, miał poletko kukurydzy. Wyrosła ona psiakrew jak prawdziwy las. Patrz ja, coś się w niej rusza, szalopocze w liściach. Chyba dzik. Przymierzył, strzelił. Pomyślał: ot, ubił ja dzikiego zwierzęcia. Gdy zobaczył, że na ziemi leży nieżywy mój kaszank, zapłakał żałośnie. Żeb ciębie czarna ziemia pokryła! Ot, durny koń, za żartem lezie po nocy! Nu, ale trafił ja, nie chybił. Oko miał ja zawsze Kupił potem drugiego konia... Ha, a te czerwone buki na skraju lasu rosną! Czegoż by nie miały tam być! Póki tam są, nie im się stać zlego nie może. Wyjdę ja nieraz przed swoją budę, popatrzę Buki piękne jak malowane Jezioro niedaleko. Grzyby, ryby, jagody. Dobrobyt leśny. Ludzie ze wsi mnie odwiedzają, pytają czy żyję i jadą dalej.

Deszcz przeradza się w ulewę. Przez małe okienko barakowozu widać ociekające wodą drzewa. Gdzieś nad liściami tych kopol wykwiata nagle ognista kreska błyskawicy i dudnienie grzmotu przetacza się po lesie. Płowoszara sarna przebiega drogę w poszukiwaniu suchej kryjówki. Nawet ptaki uciły i siedzą nieruchomo w bukach jak szmaciane kukły.

— Ha, czy mnie samotność dokucza? Że ja już taki ostatni traper na Ziemi Lubuskiej? Musi nie, skoro tyle lat przeżył w tej dzicy. Ale czasem myślę tak: a może tobie Antoni trzeba sprzedać Kobylę, ziemię rzucić, po świecie pojeździć. Jeszcze przed śmiercią odwiedzić znajomych, rodzinę. Toż niewiele żyje z mego pokolenia. Tak sobie myślę... A żona pomarła mnie niedawno. Nie mieszkała ze mną, o nie. Któż kobyła by tu wytrzymała? Dla mnie nie ma życia poza lasem...

Krople deszczu wygrywają na bukowych listkach leśną kantatę. Przez uchylone drzwi wdziera się do środka niespokojna muzyka drzew. Jest w niej zawarty los ludzki, wielka samotność człowieka. Jesienienie i usychanie starego drzewa. Bukowa opowieść o trwaniu w krajobrazie. Ale deszcz już uciha, uciha także szemrząca melodia liści. Czerwone buki otrzępują się z nadmiaru wody. Ptaki na powrót rozpoczynają swój zwyczajny jazgot. Biję zielone serce lasu.

— Nu pani, patrzaj jaka ta natura mądra. Jak chciał ja pogaworzyć, padało. Skończył tałapać jezeorem, ja ręką odiał, przestało. A teraz na boro wiki poprowadzę.



Rewiry edukacji

PRAWO DO WŁASNEJ ŁAWKI

Lucyna Grabowska

Zielonogórski kurator magister Henryk Batur, jest porywczym, rzuca się na każdą złotówkę. Nie dla siebie, rzecz oczywista. Pieniądze są potrzebne oświacie, tak jak każdemu organizmowi. O tym, że oświata jest organizmem żywym, można łatwo się przekonać wchodząc do pierwszego z brzegu szkoły w czasie przerwy.

Kiedy pan kurator rozpoczynał pobieranie nauk, musiał sobie raz z swoim kuzynem zrobić ławkę, aby mieli na czym siedzieć i pisać. Dlatego uważa, że co jak co, ale ławka każdemu uczniowi się należy.

Oświata musi budować, rozbudowywać, modernizować, remontować. Nie ma innego wyjścia. Budowy szkół i przedszkoli nie można zostawić do lepszych czasów. Łamigłówka pt. „baza oświatowa” zawsze była, jest i będzie trudna do rozwiązania. Praktycznie trzeba ją rozwiązywać bez ustanku. Oto nie dawno na dużym osiedlu Przyjaźni w Zielonej Górze otwarto nową szkołę i nowe, duże (dwa razy większe niż normalne) przedszkole. A już trzeba budować następne przedszkole i następną szkołę. Tak jest wszędzie, gdzie powstają osiedla. Szkoły są potrzebne nie tylko w nowych aglomeracjach. W małych środowiskach położonych z dala od uczęszczanych szlaków, z biegiem lat wytłaniają się białe plamy na oświatowej mapie. Szkoła, czy raczej szkołka, niby tam jest, ale sypie się, pęka w szwach, trzeba budować od nowa albo rozbudowywać.

Obiekty oświatowe buduje się w nas dwoma sposobami: z inwestycji budżetowych w wykonaniu firm budowlanych lub sumptem społecznym w wykonaniu różnych zakładów przy dużym udziale miejscowych środowisk. Są też przedsięwzięcia łączące te dwa sposoby — częściowo szkoła powstaje z tak zwanego planu inwestycyjnego, częściowo w ramach czynu społecznego. Zresztą metoda jest mniej ważna. Ważne jest, by szkoła była.

W roku 1987 na budowę, rozbudowę i remonty bazy oświatowej w województwie zielonogórskim przeznaczono 1,122 mld zł w ramach planu terenowego, czynów społecznych i planu spółdzielczego. Prace trwają lub trwały (bo niektóre już ukończono) w 46 szkołach, przedszkolach, salach gimnastycznych, stołówkach, mieszkaniach dla nauczycieli. Jeśli dodać do tego 220 obiektów, w których prowadzi się remonty kapitałowe, i 500 remontowanych w czasie wakacji na bieżąco, to okaże się, że oświata jest wielkim nieustającym poligonem budowlanym.

Milim zaskoczeniem była dla mnie informacja, że oświata nie ma powodu do narzekania na firmy zajmujące się budownictwem. Jeśli są jakieś kłopoty, to na etapie przyjęcia zlecenia. Kiedy już jakaś szkoła znajdzie się w planie przedsiębiorstwa, to na ogół jest wznoszona planowo, a nawet szybciej niż przewidują terminy. Z rocznym wyprzedzeniem oddano na przykład do użytku szkołę w Świebodzinie.

W Kuratorium Oświaty i Wychowania ciepło mówi się o zielonogórskim Kombinacie Budowlanym i jego dyrektora Zbigniewie Opalińskim, który, jak przyrzeknie coś oświacie, słowa dotrzymuje. Kombinacat buduje aktualnie szkołę na osiedlu Pomorskim w Zielonej Górze i przedszkole w Nowej Soli.

Solidną firmą jest też wolsztyński Komunalne Przedsiębiorstwo Robót Budowlanych wykonujące szkołę w Dąbrówce i szkołę z halą sportową w Wolsztynie. W Wolsztynie na ten rok zaplanowano roboty wartości 50 mln. zł, a już w tej chwili wiadomo, że będą wykonane w rozmiarze prawie dwa razy większym. Dyrektorka KPRB mgr inż. Danuta Karcz należy do wielkiego grona sojuszników oświaty.

Skoro mowa o sojusznikach, to powiedzmy otwarcie szczerą prawdę: bez nich — zakładów pracy, organizacji społecznych i samorządowych w terenie, osób prywatnych — szkolnictwo daleko nie zajdzie.

— To wspaniale — mówi kurator Batur — że mamy tak wielu przyjaciół. Są środowiska skupiające ludzi wyznających wprost cuda, by powstała szkoła czy przedszkole. Zrobiliśmy już sporo i nadal robimy dzięki osobom działającym w 143 komitetach Narodowego Czynu Pomocy Szkole. Aktualnie 34 komitety prowadzą działalność inwestycyjną.

Zasada czynu społecznego jest następująca: chcąc budować, miejscowe środowisko musi zdobyć na początek 30 procent środków od instytucji, przedsiębiorstw, osób prywatnych. Praktyka wykazuje, że decydujące znaczenie w takim przedsięwzięciu ma udział zakładu pracy w postaci pieniędzy, materiałów, transportu, robocizny.

Czyn społeczny w oświacie są bardzo opłacalne. Przykładowo: koszt jednej izby lekcyjnej w Siedlcu wyniósł 2.700 tys. zł, w Golinie 2.500 tys. zł. Natomiast izba lekcyjna budowana normalnym trybem, czyli z inwestycji kosztuje od 7 do 10 mln. zł, a więc trzy — lub czterokrotnie więcej. Przedszkole typu C-40 w Kunicach społecznie wybudowano za 25 mln. zł. Takie samo przedszkole z inwestycji kosztuje 60 mln. zł! Społecznie nie w oświacie znaczy to samo, ale kilka razy taniej. Dlaczego? Realizatorzy czynów na ogół korzystają z gotowej infrastruktury (m.in. wody, kanalizacji), no i omijają balast administracyjnych narzutów.

Społecznie w oświacie znaczy także: z sercem, oszczędnie. Korzystać z takiego budowania nie kończy się na efekcie materialnym. Jeśli jakieś środowisko budowało szkołę własnymi rękami, jeśli zabiegało o nią różnymi, sobie tylko wiadomymi sposobami, to ta szkoła już na zawsze będzie ich szkołą. Tak jest w Siedlcu, Babimoście, w Zbąszyniu (gdzie szkołę budowało aż 51 wykonawców), Szczanie, Jasieniu, Kunicach, Golinie (tu wszystkie okna, bardzo dziś kosztowne, zrobiło społecznie dwóch ludzi), w Sulechowie, Wolsztynie, Miroszynie Dolnym i innych miejscowościach.

Wielki ruch społeczny ogarnął gminę Gubin. Tylko w bieżącym roku zmodernizowano szkoły w Sekowicach, Czarnowicach i Grabicach. Wspaniały klimat wytworzył tutaj wojsko, a ogniem spójnym inicjatyw jest młody, przedsiębiorczy inspektor szkolny Jerzy Glazar.

Przykładem skupienia różnych sił na rzecz bazy oświatowej jest także Dąbrówka. Buduje się tu szkołę, salę gimnastyczną, blok żywieniowy i małe muzeum tego bogatego historycznie regionu. O nowej szkole tutaj społeczność myślała już w 1939 roku. Były nawet zgromadzone materiały. Po wy-

buchu wojny materiały zarekwirowali hitlerowcy i wieś nigdy ich nie odzyskała. Nowy rozdział zaczął się półtora roku temu, kiedy do wojewody przyjechała delegacja wsi z panami Spychalą.

Budychem IV z wnioskiem budowy szkoły, bo obecna jest za mała. Władze zaproponowały czyn społeczny. Obecnie budowa jest w toku. Patronat objęło Towarzystwo „Wisła-Odra” oraz inne organizacje i instytucje. W sumie jest 20 udziałowców zbiorowych i indywidualnych. Szkoła w Dąbrówce jest finansowana na częściowo z budżetu. W wolne soboty pracują tu w charakterze murarzy ludzie na co dzień zajmujący się czym innym.

W Dychowie szkolnictwo wspiera Elektrownia. W 1984 r. dobudowano do istniejącej szkoły 6 izb, ostatnio adaptowano blok żywieniowy wydający 160 obiadów. Resort oświaty wydał 500 tys. zł na zakup materiałów, natomiast załoga Elektrowni wykonała społecznie prace wartości 1 mln. zł. Teraz Elektrownia chce budować przedszkole.

W Kunicach opiekunich duchem oświaty jest Huta Szkła, i dyrektor dr Jerzy Węgieł, który także przewodniczy Wojewódzkiemu Komitetowi Narodowego Czynu Pomocy Szkole. Społeczny sumptem powstało przedszkole, a obecnie rozbudowuje się szkoła.

O interesy oświaty bardzo dba społeczeństwo Wolsztynie. Każda przynależna szkolnictwu złotówka jest po gospodarstwu rozmnażana na cztery złote. Aktualnie rozbudowuje się szkoła nr 2 z halą sportową. Zakończenie prac nastąpi w przyszłym roku. Jeszcze w tym roku rozpocznie się budowa przedszkola.

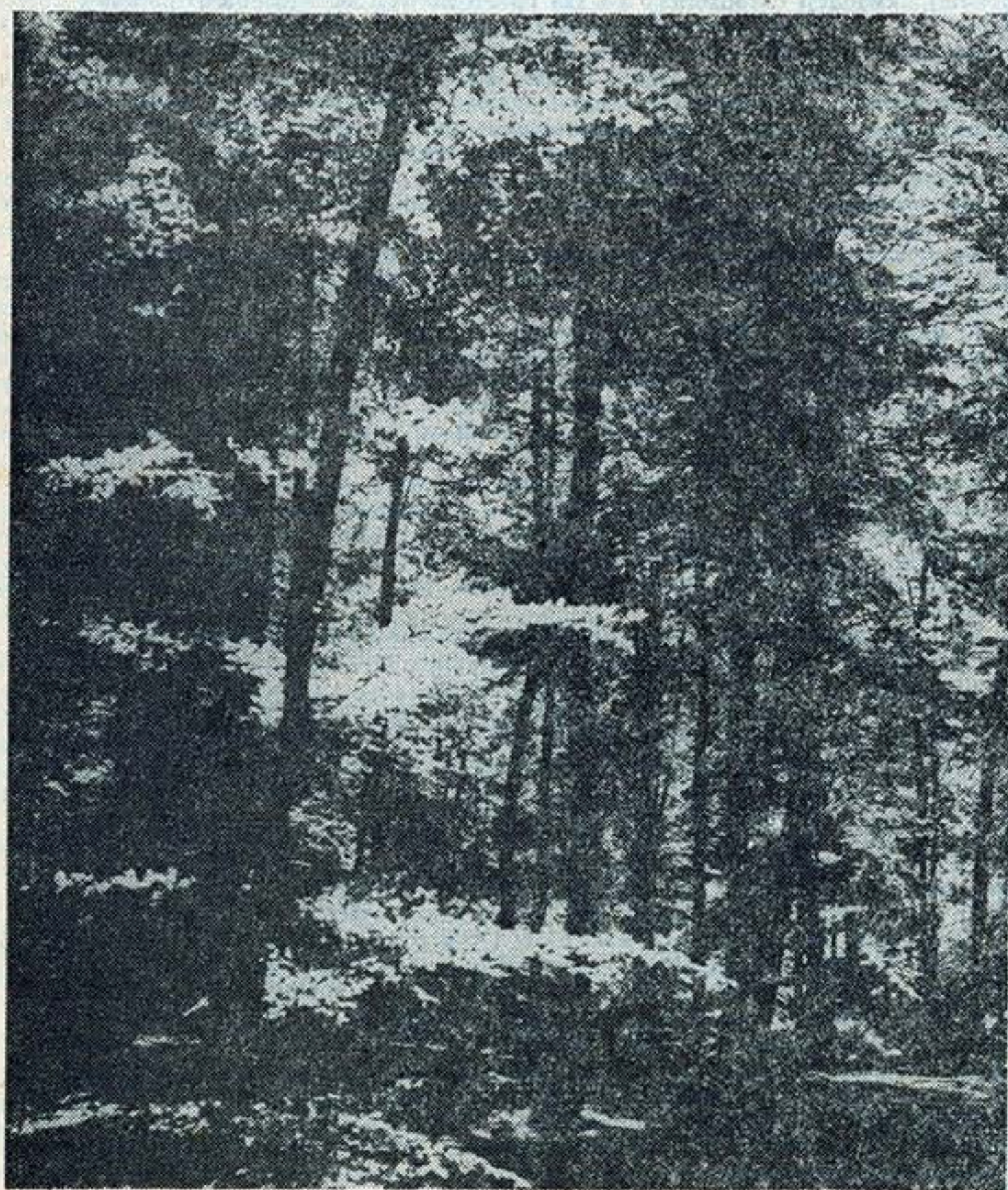
Jak już wspomnieliśmy, na oświatowej mapie budowlanej są też białe plamy: Zabor, Brzeźnica, Brody, Siedlisko, Niegosławice. Kurator Batur mówi stanowczo: zlikwidujemy te braki. Już coś się dzieje. W Brzeźnicy dobudowano część szkoły, w budowie jest dom nauczycieli. W Brodach nauczyciele otrzymali 15 mieszkań — 8 nowych i 7 remontowanych. Powstaje także blok żywieniowy. W Zaborze rozpoczęto budowę nowej szkoły, ukończono przedszkole, buduje się 18 mieszkań.

Ogólny bilans budownictwa oświatowego jest pomyślny. W ubiegłym roku oddano w zielonogórskim 140 izb szkolnych i 805 miejsc w przedszkolach, w tym roku przewiduje się wybudowanie 100 izb w szkołach i 700 miejsc w przedszkolach.

W szczegółach nie wszystko idzie jak po masie. Są słabe punkty. Oto Gubin. Z jednej strony wielkie ożywienie łączące ludzi w społecznikowskich wysiłkach, z drugiej bardzo trudny remont internatu nad Nysą i hala sportowa wymagająca wsparcia finansowego. Wsparcia potrzebuje też rozbudowywana szkoła nr 2 w Sulechowie i remontowany Dom Dziecka w Chociulach.

Na świecie obserwujemy trend w kierunku uspołecznienia szkoły. Szkoła uspołecznioma to taka, którą zarządza Rada Pedagogiczna, rodzice i przedstawiciele młodzieży. Szkołę można uspołeczniać tylko poprzez skupienie całego środowiska wokół jej problemów. Jeśli szeroko rozumiane otoczenie nie zidentyfikuje się ze swoją szkołą, to będzie ona obca. Sporo już w tej dziedzinie zrobiliśmy, zrobimy jeszcze więcej.

Fot. KRZYSZTOF MĘŻYŃSKI



Fot. CZESŁAW LUNIEWICZ

NASZE XXX lecie

„Nadodrze” w formie dwutygodnika ukazującego się dokładnie co dwa tygodnie zaczęło wydawać od stycznia 1969 r. Daje to w sumie 26 numerów w roku. Ten stan trwa do dzisiaj, mimo zgłaszanych od wielu lat wniosków o zwiększenie częstotliwości ukazowania się pisma. W 1969 r. był to jednak krok do przodu, stwarzający redakcji większe możliwości wypowiedzi. W dalszym ciągu w sferze zainteresowań pisma leżały szeroko rozumiane sprawy kultury regionu, perspektywy jej rozwoju i upowszechniania, nowe formy działania ruchu społeczno-kulturalnego. Sprawy te często widziane były w konfrontacji z doświadczeniami innych regionów kraju i w różnych formach: publicystycznych, reportażowych, dyskusji i informacji. Głównie szło o odpowiedź na pytanie, czy dotychczas realizowany na Ziemi Lubuskiej sposób działań kulturalnych może podołać zadaniom, jakie narzucała współczesność? Zgłaszana wtedy odpowiedź na to pytanie brzmiała: nie, jeśli nie zapewni się materialnego zabezpieczenia tych działań. Ilustrowano to przykładami z tzw. terenu, który jest zawsze najważniejszym sprawdaniem skuteczności polityki kulturalnej. „Jeśli spełnienie zapotrzebowania społecznego jest problemem samych twórców, ich ambicji i talentu, świadomości swej odpowiedzialności wobec odbiorcy, to kwestia upowszechniania dóbr kulturalnych jest rozleglejsza i przekracza możliwości jednostek, nawet całych środowisk” — pisał Krzysztof Kościuszka (Andrzej K. Waśkiewicz) w jednym ze swych artykułów pt. „Kultura powiatowa”.

Ten ton dominował w publicystyce kulturalnej „Nadodrza” w 1969 r., które poddawało krytycznej ocenie funkcjonujące nadal i mocno już zużyte stereotypy, streszczające się w kiedyś żywotnym sloganie o tzw. „lubuskim cudzie kulturalnym”. Najważniejsze w owym czasie wydawały się sprawy bazy materialnej kultury już wtedy nader szczerze i przestarzałe, bez załatwienia których nie wyobrażano sobie jej przyszłości. Były to postulaty zgłaszane na IV Sejmiku Kultury, mówiono o nich także w trakcie partyjnej przedzjazdowej dyskusji, o których już rok wcześniej „Nadodrze” pisało: „Społeczeństwo jest zorientowane w jakich warunkach — smutnym efekcie konieczności przyszło pracować środowiskom naukowym i artystycznym województwa. Mowa o warunkach pracy m.in. Teatru Ziemi Lubuskiej, Orkiestry Symfonicznej, redakcji prasowych i drukarni... Jesteśmy zorientowani na przyczynach tego stanu rzeczy i zdajemy sobie sprawę, że taki jest los środowisk rozwijających się w miastach pozbawionych kulturalnej tradycji. Zrozumienie nie oznacza jednak, że stan nadzwyczajnej prowizorki musi trwać zawsze. W latach na przyszłość przewidujemy, że warunki pracy zostaną znormalizowane. W przeciwnym wypadku zaistnieje przy padek zmarnowania kapitału zaangażowanego w rozwój środowisk twórczych, zmarnowanie szans i możliwości”.

Lista tych narastających z upływem czasu postulatów była długa. Obecnie z satysfakcją stwierdzić można, że wiele z nich, zwłaszcza w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych została załatwiona. Dziś rodzą się nowe. I także ich załatwienie, choć w zmienionych warunkach, odkładać zbyt długo nie można.

WIESŁAW NODZIŃSKI



Większość gorzowskich i zielonogórskich poczynań kulturalnych ma swój społeczny rodowód. Ruch społeczny do prowadził w 1946 r. do utworzenia szkoły muzycznej w Zielonej Górze, chóru „Harfa” w Świebodzinie. Filharmonii Robotniczej w 1953 r., a potem Stowarzyszenia „Orkiestra Symfoniczna w Zielonej Górze”, orkiestry „Odeon” w Gorzowie. Tenże ruch w połowie lat pięćdziesiątych zaczął tworzyć społeczne ogniska artystyczne. Dzięki jego inicjatywom przed 25 laty zorganizowano I Zielonogórskie Spotkania Muzyczne, które stały się najważniejszą doroczną imprezą muzyczną miasta i województwa. Przypomnijmy w tym miejscu, że ruch społeczny prowadzi Dni Kameralistyki, Polsko-Czechosłowackie Muzyczne Spotkania Przyjaźni, Konkurs Pianistyczny w Sulechowie, lekcje jazzowe, chóry i zespoły kameralne.

Tegoroczne, już 25 Zielonogórskie Spotkania Muzyczne, odbywały się na przełomie września i października, i by

Bogactwo życia

ły połączone z obchodami Międzynarodowego Dnia Muzyki, zainicjowanego przez Międzynarodową Radę Muzyki UNESCO na wniosek światowej sławy skrzypka Yehudi Menuhina. W Zielonej Górze połączono je z uroczystym posiedzeniem zarządu Lubuskiego Towarzystwa Muzycznego im. Henryka Wieniawskiego, podczas którego Stanisławowi Ciomkowi, sekretarzowi LTM, wieloletniemu działaczowi społecznemu i kulturalnemu, wręczono doroczną nagrodę LTM. Spotkania zainaugurowano koncertem w wykonaniu Konstantego Andrzeja Kulki. Następnego dnia w sali witrażowej Muzeum Ziemi Lubuskiej prezentowali się najmłodsi artyści, wychowani w zielonogórskich szkołach muzycznych: skrzypaczka Ewa Łuczak i śpiewacy — Anna Ulwańska (absolwentka Instytutu im. Gnieśnych w Moskwie) i Andrzej Bator (stypendysta w Metropolitan Opera w Nowym Jorku). Jak każdego roku, w Spotkaniach uczestniczyło wielu gości zagranicznych, m.in. Akemi Hara z Japonii, Dagmar

Zarubowa i Tomas Visek z Czechosłowacji, Miejska Orkiestra Kameralna z Cótubs wraz z solistami Ludmiłą Łysenko i Mirellą Florescu. Miał swój recital fortepianowy Krzysztof Jabłoński. Znaczącym wydarzeniem był koncert Orkiestry Kameralnej PRiTV w Poznaniu pod dyktando Agnieszki Duczmal z udziałem solistów Bogdana Kapaly oraz Waldemara Machmara Henryka Januszewskiego wraz z orkiestrą symfoniczną Filharmonii Zielonogórskiej wykonała po raz pierwszy w Zielonej Górze „Bachjansa Brasileiras” H. Villa Lobosa. Pod czas tego koncertu sala Filharmonii Zielonogórskiej była wypełniona po brzegi, a orkiestra nawet bisowała. Tak więc 25 Zielonogórskie Spotkania Muzyczne były imprezą bardzo udaną, o czym świadczy już nie tylko nazwiska wykonawców, lecz i gromadzący w nich udział melomanów. Na wszystkich koncertach były tłumy, czego nie można powiedzieć o cotygodniowych koncertach w sali FZ. W przeszłości wiele koncertów zielonogórskich powtarzano w innych miejscowościach regionu, w tym roku zabrakło pieniędzy na dodatkowe recitale.

W 1967 r. zorganizowano pierwsze Gorzowskie Dni Muzyki, impreza odbyła się w ramach Gorzowskich Konfrontacji. Potem Dni wyłączone z tego festiwalu kultury, a od siedmiu lat prowadzone są one przez Gorzowskie Towarzystwo Muzyczne. Jak obliczyli organizatorzy, dotąd występowało 7 orkiestr, 13 chórów, 46 zespołów kameralnych, 25 dyrygentów, około 230 solistów z Gdańska, Bydgoszczy, Łodzi, Warszawy, Ka-

towic, Wrocławia, Krakowa i Zielonej Góry. Prezentowali swój kunszt wykonawczy uczniowie i absolwenci gorzowskich instytucji kształcenia muzycznego, a także zespoły amatorskie. Nie zabrakło wykonawców zagranicznych, byli przedstawiciele NRD, Czechosłowacji, Bułgarii, Belgii. Tegoroczne Gorzowskie Dni Muzyki, które objęły swoim zasięgiem całe województwo, podobnie jak w Zielonej Górze, przygotowały instytucje upowszechniające kulturę, a główny ciężar organizacyjny wzięło na siebie Gorzowskie Towarzystwo Muzyczne im. Henryka Wieniawskiego. Odbyły się koncerty symfoniczne i kameralne, recitale oraz popisy. Wystąpili artyści z Gdańska, Łodzi, Warszawy, Poznania. Na zaproszenie orkiestry „Odeon” przybyła Państwowa Orkiestra z Eberswalde-Finow w NRD. I tak jak w Zielonej Górze, sale gorzowskie nie świeciły pustkami, artystów przyjmowano serdecznie, nagradzając ich brawami i kwiatami.

Tego rodzaju spotkania, choć organizowane odświętnie, przybliżają ludziom muzykę, łączą Lubuszan z głównymi ośrodkami życia artystycznego w kraju. Nie by się nie stało, gdyby zaniechano organizacji tych imprez, tylko — czy wtedy nasze życie byłoby tak samo bogate

ALFRED SIATECKI



LAZARZ NA GRUSZCE

Przedstawienie trwa półtorej godziny. Bez przerwy. Po pierwszej półgodzinie widzowie siedzący na schodach lub na drewnianych ławkach bez oparcia zaczynają się kręcić. Po drugiej — wypróbowawszy już wszystkie możliwe pozycje — zaczynają rozciągać plecy i nogi. A tymczasem Wojciech Deneka po raz sto pięćdziesiąty ósmy okrąża drzewo od prawej strony ku lewej. Idzie rozchyłonym krokiem po niby-konarach. Pomysł ładny, ale na krótko. Potem męczy. Jak zresztą wszystko, gdy się siedzi ze skurczonymi nogami, żołądkiem wbitym w kręgosłup, bez możliwości oparcia pleców. Przypuszczam, że reżyser — Antoni Baniukiewicz — nigdy nie oglądał przedstawienia z pozycji, którą narzucił widzom. Po godzinie te uciążliwe pozycje zaczynają być ważniejsze od wszystkiego, co dzieje się na scenie.

Gorzowski teatr szuka miejsca do wystawiania sztuk. Gdy straż pożarna zakazała przedstawień w sąsiadującym z widownią foyer, skończyły się czasy Małej Sceny. Raz podjęto próbę aranżacji przestrzeni scenicznej obok balkonu. Teraz wymyślono inne miejsce: okrągły hall między szatnią a palarnią. Ładne to miejsce. Szkolęć polega tylko na tym, że nie ma gdzie posadzić widzów. Trochę miejsca na stopniach, trochę na ławkach z boku lub za drzwiami. W su-

mie około 40 miejsc, ale siedzenie na nich może być jedynie karą za bezgraniczną ufnosć do teatru.

Kilka dobrych lat temu mówił się o remoncie — dla małej lub lalkowej sceny teatru — dawnego klubu spółdzielczości przy ul. 30 stycznia. Ostatnio nie mówi się. Czyżby kolejny dobry gorzowski pomysł umarł śmiercią naturalną?

„Taniec Łazarza” rozpoczyna się od okrutnej sceny przygotowania do zabójstwa psa. Łazarz przywiązuje do drzewa swojego Burka, szarpie się z nim, wreszcie strzela. Okropieństwo! Na szczęście widzowie nie mogą tej sceny zobaczyć, ponieważ rozgrywa się za ich plecami. Przynajmniej za plecami zdecydowanej większości, siedzącej na honorowych miejscach, czyli na schodach. Na drugie szczęście — Łazarz nie trafia w psa lecz w łańcuch, którym Burk był przywiązany do drzewa. Ale to, co było szczęściem dla psa, staje się nie-szczęściem dla Łazarza, ba, nawet Iosem. Musi bronić się przed rozszereżonym psem, wchodząc na starą, dziką gruszkę. I zostaje na niej do końca życia, czyli przez następne półtorej godziny.

Był Szymon na słupie, teraz jest Łazarz na gruszcze. Na środku okrągłej sceny stanęło rosochate drzewo z konarami przemysłnie rozłożonymi na podłodze, żeby Łazarz mógł po nich biegać. Ładna, pomysłowa scenografia. Zrobiła ją młoda gorzowska plastyczka — Magdalena Cwiertnia. Tylko, że ta gruska wciąż stoi na scenie i nie zmienia się, a przecież w miarę rozwoju spektaklu przybiera ona symboliczne znaczenie; najpierw azyl, potem konieczności, wreszcie wyboru, pojednania i śmierci. Gruska ze sztuki rozplywa się w metaforę. A tymczasem ona bezczelnie stoi na scenie. A może lepiej by było w ogóle bez tej realistycznej gruszki? Może od razu wejść w metaforę?

Ale co tam gruszki, metafory i Burki. W „Łazarzu” dominuje tekst. Jest go tak dużo, że się wylewa, kipi, przestaje znaczyć. Niestety, trzeba go powiedzieć. To znaczy, reżyser uważa, że trzeba cały, bez wyjątków. Skrócenie tego tekstu — nie najlepiej zresztą przełożonego — o połowę, zdecydowanie na zdrowie wyszłoby spektaklowi. Wojciech Deneka, jedyny wykonawca, pada pod ciężarem tekstu, dokonuje samobójstwa, krzyczy, krzyczy, krzyczy. I skacze po drzewie, po

konarach, po murkach. Jak to się stało, że tak dobry aktor jak Wojciech Deneka zakrzyknął i strącił całą filozofię Radiczkowa? Deneka jest mistrzem z wieszenia gestu, pauzy. Znakomicie te atuty wygrywał jako Szambelan w „Iwo nie, księżniczko Burgunda”. Tu nie ma miejsca na pauzę. Tu idzie na całość. I rozkłada się...

Mam do reżysera jeszcze parę preten sji, m.in. o prymitywne operowanie muzyką, o trywializmy...

Jordan Radiczkow jest najwyższymi ce nionym współczesnym pisarzem bułgarskim. Nieczęsto mamy możliwość obco

wania ze sztuką Bułgarii, choć kraj lu biany, głównie ze względu na ciepłe morze. W „Taniec Łazarza” nie ma morza. Jest surowość bułgarskiej przyrody, jest prosty człowiek i są uniwersalne prawdy. Łazarz zachęca do bliźszego poznania jego twórcy.

Ale przedstawienie polecam tylko tym, którzy mają zdrowe kręgosłupy.

KRYSTYNA KAMIŃSKA

Jordan Radiczkow: Taniec Łazarza. Reż. Antoni Baniukiewicz, scen. Magdalena Cwiertnia, w roli Łazarza — Wojciech Deneka. Premiera 10 października 1987 r.



Wojciech Deneka w roli Łazarza

Fot. JERZY SZALBIERZ



MŁODZI ZAGNIEWANI

Klub Literacki działający przy LTK i ZLP w Zielonej Górze, skupiający przede wszystkim młodych parających się piórem, pokusił się o publikację czterech pierwszych tomików swych członków. Pierwszy podzielił się na ich temat kilkoma uwagami.

Świadomość poezji, znajomość najnowszych trendów, mód, może prowadzić do bardzo niebezpiecznego stanu. Formalnie, przy obecnych środkach, każdy umie pisać wiersze, mnożyć słowa, wygłaszać sądy, paplać (lub mówić mądrze) o wrażliwości, świecie, frustracji, miłości, filozofach. Poprawna pol-

szczyzna i umiejętna kompozycja czyni myśl wierszem. I bardzo łatwo się w tym zagubić. Bo co wtedy jest prawdziwą poezją?

To bardzo odpowiedzialne — ferować wyroki. W przypadku tomiku „Cierpienie mięśni” ARTURA BAKOSIA nie mogę oprzeć się wrażeniu, iż wszystkie doznania bohatera są powierzchowne, banalne („w rękach poety świat staje się zabawką”), pompatyczne („wzrastam by dojrzeć do rozszczępienia”), ograne („moja noc ma szerokie uda jest ciepła i wilgotna”), belkotliwe („tak poza tym może od czasu do czasu zostawić nas dla innego byle tylko wracała ta sama”). Cierpienie mięśni jest chyba wynikiem nieopanowanego gadulstwa, bez weryfikacji przemysłu, bez surowej samooceny. To dobrze, gdy młody człowiek (ur. w 1968) pisze wiersze, ale byłoby lepiej — przede wszystkim owej poezji wyszłoby to na dobre, gdyby po ze zastąpił prostotą, a udawanie — własną postawą. Inteligentny wstęp jest ciekawszy od wierszy. To prawdziwy Bakos.

W zbiorze JACKA KATARZYŃSKIEGO „Koszmary drwina z nas” tytułu wy wiersz jest potwierdzeniem autorskiej deklaracji: „Urealnienie fantazji, materializowanie surrealistycznych wizji — oto, czego pragnę”. Zły sen jest realny, ma porażać serce i świadomość. Gdyby wyzbył się wierszów nie budujących wizji i wrażeń percepcyjnych („ta chwila jest zbyt długa”, „ja ja drzę cały bezsilny zrozumiałem”), całość byłaby mniej

przegadana, silniejsza. I tylko wiersz oraz dwuwers z „Wizji VI” („Uspokuj się malarzu, nie niszcz obrazów! Tak piękne są te martwe sceny!”) bronią się przed kolejnym zarzutem belkotu, brakiem samooceny rzeczywistości. Brak temu jeszcze indywidualności. Nawet założona „schizofrenia — surrealizm” wymaga logiki (Breton był bardzo logiczny, nawet przy układaniu swych programów). Te poetyckie nieporadność znać w tych wszystkich przypadkach, gdy wiersz dotyczy codzienności, przyziemności. Produkt jest jałowy, nie ciekawy i brak mu oryginalności.

„Boli mnie, że tracamy umiejętność rozmawiania ze sobą” — stwierdza ANITA SIMONJETZ. Nie bardziej mylnego. Nasza współczesność opiera się na rozmowie. Nasza znajomość świata i ludzi zwiększa się. Zmienia się jedynie stopień szerokości. I to niepokoi. Coraz więcej wśród nas kameleonów. Mam wrażenie, że właśnie tak zmienia się autorka tomu „Który zbudził mnie”. Jest to bowiem poezjowanie dwójnie. Przede wszystkim mamy do czynienia z wierszami sztambuchowymi, niemodnymi, choć sympatycznymi („wybacz, nigdy w twoją podłogę nie uwierzę”). Ale prymitywność środków nie wychodzi na dobre myślenie, gdyż spłyca je i minimalizuje („są tylko rzeczy i tych rzeczy cienie słonec zachodzi cienie przemijają”). A. Simonjetz zupełnie niepotrzebnie rozkłada się i próbuje z tego uczynić zaletę. Zatraca się w czułościowości i niepotrzebnej infantylności. Jakże inne, ciekawsze, mądrzejsze,

z interesującymi rozwiązaniami poetyckimi są trzy poemaciki, ilustracje (!) do obrazów Paula Klee i Amodeo Modiglianego. Te utwory są najciekawsze, wrażliwe, sensualistyczne, z projekcją dialogów, sytuacji, wizji i przeżyć. Dojrzałe.

„Pomarańczarnia” JACKA SUTA nie daje się podporządkować żadnym schematom. Raczkująca i skryzalizowana, subtelna i wulgarna, liryczna i przyziemna — oto pierwsza próba młodego poety. Pełna błędów, rozhisteryzowana, za wszelką cenę — inna, niepokojąca. Młodość obwarowana alkoholem, absencją, samodzielnością, wulgarnością — na siłę pcha się do starości. Bohater Suta belkotnie pijany jest prawdziwy, ostry. Jego świat, zarzuty i opłuty to nowa propozycja widzenia jaskrawego. Dla jednego wiersza („Erotyk nie spełnia”) warto Suta przeczytać. Być może ta odrębność poetyckiego głosu niesie w sobie zaletę indywidualności?

„wydaje mi się że ona krądnie mi drobne na papierosy śledzi mnie kiedy całuję uliczne latarnie to ściertwo (...)”

MALGORZATA KOWALSKA-MASŁOWSKA

Artur Bakos. Cierpienie mięśni. Jacek Katarzyński. Koszmary — drwina z nas. Anita Simonjetz. Który zbudził mnie. Jacek Suta. Pomarańczarnia. Zbiórki wydał Klub Literacki. Zielona Góra 1987.

Dyskusja o książce wciąż trwa. Obroni się książka, czy należy ją wreszcie? Jest ciągle w centrum uwagi współczesnych Polaków, czy też coraz bardziej schodzi na margines? Czy wydajemy książki za dużo, czy za mało? Nie są to oczywiście wszystkie pytania, na które w tej długiej dyskusji poszukuje się odpowiedzi. I jak zwykle sądy wypowiadających się są rozbieżne.

Rozbieżne są także dane statystyczne. Jedni uważają, że książki czytają nas trzecia część dorosłego społeczeństwa, drudzy, że znacznie mniej. W pewnej dyskusji kompetentny pracownik resortu kultury dowodził, że 60 proc. społeczeństwa deklaruje, że czyta książki. Janusz Przymanowski, pisarz ale również znawca tej problematyki, podaje, że w Polsce kupuje książkę około dziesięciu milionów obywateli. Czy pod pojęciem książki rozumie on także podręcznik szkolny i skrypt uniwersytecki? Nawet z pobieżnej obserwacji wynika, że nie każdy, kto kupuje książkę, czyta ją, że dla wielu jest to tylko swoista lokata kapitału, chęć pokazania się od tej lepszej strony.

Książki przede wszystkim czytają dzieci albo jeszcze im się nie czyta. Czyta młodzież, jedne dlatego że chcą, inne bo muszą. Wydaje się, że młodzież czyta jednak mniej niż dawniej. Wyszczególnienie porównawcze z młodzieżą systemu edukacyjnego nie zmusza do czytania. Najmniej czytają ludzie w sile wieku, w wieku produkcyjnym. Tu nie są potrzebne badania, to się widzi gołym okiem. Czytających książki przybywa wśród rencistów i emerytów, ale ci zajęci nianiem wnuć i wystawianiem w kolejkach nie garną się aż tak tłumnie do lektury, jakby to można było sądzić.

Dzisiaj czas, i to jest chyba prawda bezsporna, który moglibyśmy poświęcić książce, odbierają nie tylko zresz-

ta u nas masowe środki przekazu. Wyjątek, że kończy się okres, kiedy jako najczęstsza forma kulturalnego spędzania wolnych po zawodowej pracy godzin była właśnie lektura. Im ciekawsza telewizja, atrakcyjniejsza prasa, im więcej technicznych nowinek, tym częściej w kącie książki. Zaczęła się pora telewizji, płyt, taśm, kasety, nadciągła telewizja satelitarna. Słowo pisane, które przez lata człowiek, jeśli oczywiście, potrafił, sam sobie, czasem też innym, odczytywał, dziś wyraźnie ustępuje pola słowu mówionemu, obrazowi. Ta zmiana w modelu kultury jest bardzo wyraźna. Wielu żalując pieniędzy na książki, dodajmy także relatywnie coraz droższą, wydaje się na inne dobra kulturalne, telewizory, radia, magnetofony, płyty, kasety.

Książkę wciąż jednak kupuje się i czyta. I nawet największy w tej materii pesymiści nie twierdzą, żeby kiedykolwiek miało być inaczej. Pozostaje tylko problem skali, zakresu oddziaływania książki na człowieka. Po jaką dziś sięga się książkę, jaką się książkę kupuje? Śięga się po książkę nobilitowaną przez szkołę czyli po klasykę, po książkę, którą zalecił sąsiad, po książkę wbrew pozorom drogą, ładnie wydaną, która może być ozdobą w domu, rzeczą przeznaczoną na prezent. Nie jest prawdą, że szkoła niszczy książkę. Wystarczyłoby teraz skierować z lektury dzieła Mickiewicza, Słowackiego, Norwida a znawcy przypuszczają, że już w trzecim pokoleniu nazwiska naszych najwybitniejszych poetów, nie mówiąc o ich dziełach, byłoby znane jedynie specjalistom. W społeczeństwie, w którym ponad milion osób posiada wyższe wykształcenie, a niemal wszyscy, nie licząc oczywiście dzieci, podstawowe, dla setek tysięcy Rodziewiczówna czy po przeciwnie stronie Nienacki ciągle są tymi, kim Lew Tołstoj czy Dostojewski dla tysięcy. Z naszych klasyków ostał się przede wszystkim Sienkiewicz. Czyta go mało i wień. Na zapy-

tanych niedawno 20 tysięcy korzystających z bibliotek wiejskich, Sienkiewicza czyta 14 tysięcy. Myśliwskiego — 33, Parnickiego — 44. Różewicza — 19. To dowodzi, że zainteresowania literaturą współczesną, tą najlepszą, są znikome. Nie trzeba sięgać zbyt daleko, już nawet po rozsprzedaży naszego piśmiennictwa, co kogo dziś interesuje. Nie szkic wybitnego naukowca na temat wydawczości by się ważył i znaczący, ale rozmowa z prostytutką, reportaż o młodym mężczyźnie dorabiającym do stygmatu „męską posługą” wywołują niebawem zainteresowanie. I czy się to komuś podoba czy nie, taka jest ta nasza rzeczywistość, którą nieporadnie, bez widocznych efektów, usiłujemy zmienić.

Książki, jak wiadomo, wydają wydawnictwa. A od wydawców wymaga się dziś rentowności, zysku, dochodów. A takie zyski przynoszą wielkie, najczęściej klasyczne dzieła, albo rzeczy niewysokiego lotu ale z różnych powodów cieszące się popularnością. Niedawno na zebraniu literatów w Warszawie dyrektor pewnego wydawnictwa powiedział bez ogródek: wydaję „Trędowatą”, chociaż będziecie mnie za to krytykować, ale i tak przyjdziecie do mnie, żebyście wydali wasze powieści, nowele, wiersze. Klasyki i parę współczesnych pracują dziś na ogromną resztę piszących, do których i ja, niestety, się zaliczam. Po zbiórki wierszy sięga mniej niż jeden procent czytających książki. Nic więc dziwnego, że tomiki poezji wielu poetów, wydane w dwu tysiącach egzemplarzy, za legają księgarskie i biblioteczne półki. Średnio do poetycznej książki dopłaca się ostatnio pół miliona złotych, a w zeszłym roku u nas tomik wierszy ukazywał się co dwa dni. Czyżby pożąta odświeżona, bo poeta się nie jest, ale bywa, pycha, pozostawała mi codzienna, powszednia pokora?

JANUSZ KONIUSZ

Marginalia

ŚLUSZNIENIE. W 7 zeszytach miesięcznika „Poezja” Jacek Zychowicz omawia kilka debiutanckich tomików poetycznych, wśród nich — Zbigniewa Jelinka „Małe życie”. „Zakres doświadczenia, z którego rodzą się poetyckie obrazy, jest niemal identyczny jak u Zgalskiego” — pisze autor a my się zastanawiamy, skąd on to wie. I dalej: „Jelinek próbuje jednakowoż uczynić swoim punktem wyjścia indywidualną uroślność, a świat zewnętrzny, „strzęp codzienności” o których mówi w jednym z wierszy, opisywać jako to, co ją atakuje, sprawia jej ból”. Śluszenie. Przed bólem trzeba się bronić jak przed niefrasobliwymi recenzentami.

KTO NIE LUBI FOLKLORU. Oj, mocno nie lubi folkloru Marek Kasz z „Kultury”, który w nr 41 tygodnika ogłosił stosowny felietonowy pamflet. Oburza się więc: „Ale tworzyć za ciężkie pieśni ludowe muzykę dołnośląską? Ze spóły pieśni i tańca Zielonogórszczyzny? Złożony z elektroników zespół obrzędowy Politechniki takiej czy siakiej? To weterana bzdura”. Ale autor ma tylko po części rację. Zielonogórszczyzna istotnie nie ma Politechniki a studenci WSI nie wiedzą, jak tańczy oberka. Nie ma też własnego, rodzimego folkloru, bo i skąd ma mieć. Ale ma górali czadeckich w Brzeźnicy i Złotniku, i to właśnie oni kulturowo swój folklor, wcale nie za wielkie pieniądze. A „Wesela przyprostyńskie” a zbaszynieccy kobziarze, a zespół w Dąbrówce Wlkp., to „małe piwo”?

OPONY DO KARAWANU. Pod takim tytułem Krystyna Zielińska publikuje swój kolejny felieton w tygodniku „Ve to” (nr 42). A rozpoczyna go tak: „Z Jordanowa koło Zielonej Góry zwróciło się do mnie, abym pomogła zakupić dętki i opony do karawanu. Dom Opieki Społecznej jest obok i usługodawca ma kłopoty, bo wiadomo, że starsi ludzie umierają”. Szanowna pani poseł stosuje osobliwe miary długości, skoro leżące około 55 km od Zielonej Góry Jordano nowo lokalizuje „koło”, ponadto Dom Opieki jest w samym Jordanowie, zaś ementarz leży dwa kroki dalej. Komu i po co potrzebny jest ten smutny karawan?

EKSPIACJA. W kolejnym, 15 odcinku swoich wspomnień „Azył polityczny” Alicja Lisiecka („Rzeczywistość” nr 42) powraca do okresu pobytu w kraju, wyznając: „Bo kochano mnie tylko wtedy, kiedy miałam władzę; rządy dusz w liczących się pismach. (Jakiś stosunek łączący Cię z... Drewnowskim, pytał już cie-kawski W.W.)”. Ten W.W., jak wynika ze wcześniejszych wypowiedzi autorki, to poeta Wiktor Worszylski, któremu już chyba po raz drugi. A.L. ma za złe, że mieszka na Zoliborzu... Natomiast Tyrmandowi autorka wypomina, że pod

czas przyjęcia w jej mieszkaniu „Obstał dwu kobiety: moją przyjaciółkę — nauczycielkę, powiernicę życia — żeby wydobyć od niej więcej plotek. I — znaną aktorkę. Z nią też wyszedł po nieudanej próbie wcześniejszego udowodnienia, że i ja jestem kobietą...”. Współczujemy.

JAK ZOSTAĆ LUBUSZANINEM. Ex-lubuszanin Zygmunt Trziszka opowiada w wywiadzie, udzielonym lubelskiej „Kamieniu” (nr 20) jak „Przedsiębiorstwo środki, aby z nas zrobić Lubuszan a nie takiego jak Lubuskie nie miało swego osadzenia w żywej tradycji historycznej. W pewnym okresie na fall awansu społecznego znalazłem się w Zielonej Górze. Zaczęłem badać sprawy regionalnej odrębności Ziemi Lubuskiej od strony etnograficznej, socjologicznej itd. Poczułem się Lubuszaninem”. A więc — z wyboru czy z konieczności?

JAK SIĘ DOWARTOŚCIOWAĆ? Zygmunt Trziszka, autor wielu tomów prozy o tematyce związanej z osadnictwem na ziemi środkowego Nadodrza, nie jest holubiony przez krytykę, mającą wiele zastrzeżeń do artystycznej jakości jego literackiej produkcji. Toteż — jak oświadczył w cytowanym już wyżej wywiadzie: „To naturalne, że chciałbym dowartościować się swoim piśmieniem”. Chodzi o esejistykę, uprawianą przez Z. Trziszkę. „Jest to o tyle zrozumiałe — kontynuuje pisarz — że krytyką zajmuję się coraz częściej ignoranci i hochsztaplerzy gdyż jest nieopłacalna itd.” Jak dotychczas, recenzenci byli bardziej pobłażliwi dla prozy Zygmunta Trziszki. A teraz mają za swoje...

KONKURSY, KONKURSY... „Przegląd Tygodniowy” nr 40 opublikował w tekście pt. „Polowanie na laureata” wykaz konkursów ogłoszonych ostatnio przez różne instytucje i redakcje na utwory o różnej tematyce i różnych gatunkach formalnych. Jest wśród nich wzmianka o trzech konkursach, zorganizowanych z okazji 30-lecia „Nadodrza”. Autor tego niezwykle interesującego zestawienia, Andrzej Nierychło, konkluduje: „Wydaje się być możliwe zarobkowanie poprzez udział w konkursach. Rzecz w tym, by działać systematycznie i mieć dobre rozeznanie rynku; wiersz, który nie uzyskał uznania można od biedy przerobić na opowiadanie, a stąd już tylko krok od reportażu. Wspomnienie z lasu zawsze nada się na tekst przeciw-alkoholowy, ten — na esej o kulturze studenckiej”. Po ogłoszeniu w listopadzie wyników naszych konkursów literackich przekonamy się, ile racji mają stwierdzenia autora.

NOWY UTWÓR MROŻKA. Znakomity dramaturg ogłosił podpisany przez siebie konspekt nowej sztuki pt. „Oświadczenie” („Tygodnik Powszechny” nr 42). Oto jego treść: „W czerwcu 1987 przebywałem w Polsce w sprawach rodzinnych, mieszkam stale we Francji. Pewnego dnia dowiedziałem się z gazet, że przyznano mi nagrodę Funduszu Literackiego, podobnie jak kilkunastu innym osobom. Nazajutrz Dyrekcja jednego z teatrów, z którymi byłem w kontakcie, przekazała mi w rozmowie telefonicznej pyta-

nie, o przekazanie którego zwróciło się do owej Dyrekcji Ministerstwo Kultury, a mianowicie, czy stawię się po odbiór nagrody w Zamku Królewskim w Warszawie, podczas specjalnej uroczystości. Odpowiedziałem, że nagrody nie przyjmę.

Do tej pory nie otrzymałem żadnego zawiadomienia o nagrodzie. Więcej nie mam w tej sprawie nic do powiedzenia.” O takich tekstach powiadają: sytuacja jak z Mrożką.

ZACIETRZEWIENIE? W ostatnim 10 ze-szyście „Przeglądu Powszechnego” M.J. pisze o „Nadgorliwości” programowej Polskiej Telewizji: „Innego rodzaju nadgorliwość prezentowali sprawozdawcy spotkania Jana Pawła II z Wojciechem Jaruzelskim w Zamku Królewskim (8 czerwca); tak właśnie chcieli przekazać historyczność tej chwili, tak natrętnie podkreślali państwowy aspekt tej rozmowy (Dwóch wybitnych mężów stanu. Dwaj wielcy Polacy), że zapewne usztywnili wielu słuchaczy”. Pretensje autora są tak osobliwe, że można je jedynie zaliczyć do chorobliwych stanów zacietrzewienia.

POCZTA

Szanowny Panie Redaktorze.

W związku z niejasnym pouczeniem przez redaktora rubryki „Marginalia” „Nadodrże” nr 20(1987), pisarza Janusza Olczaka wypada mi zauważyć, że istnieją różne poziomy, wody, alkoholu itd. Janusz Olczak jest od pewnego czasu ciężko chory i nie może nawet się bro-nić. Pragnę tylko poinformować Czytelników, że moje zdanie na temat jego twórczości jest inne niż opinia redaktora w/w rubryki.

Natomiast zgadzam się z opinią w/w redaktora odnośnie poziomu nie tylko twórczości pewnego ob. związanego z rozgłosną PR w Zielonej Górze. Niedawno, na marginesie m.in. mojego opowiadania opublikowanego w „Nadodrzu” (numer jak wyżej), rozgłosnia ta nadała audycję mającą na celu urobienie opinii słuchaczy, że działalność Społecznego Ogniska Muzycznego w Szprotawie została „zawieszona” z powodu braku nauczycieli. Nauczyciele Państwa wej Szkoły Muzycznej i Stopnia w Szprotawie, uczący dotychczas również dzieci w SOM, są zaskoczeni tą dezinformacją, gdyż w rzeczywistości SOM zostało zlikwidowane nie z powodu braku nauczycieli, lecz z powodu wstrzymania dotacji na rzecz SOM przez władze miasta, dbające o zwiększenie ilości punktów sprzedaży alkoholu (sklepy, knajpy, pijalnie piwa, przymywanie oka na handlarzy wódką), marnotrawiące pieniądze gdzie indziej, a oszczędzając na kulturze.

Ogólnie jednak rubryka „Marginalia” jest znakomicie redagowana, i obok notatek Zenona Czarneckiego, jednego z niewielu ludzi upominających się o kulturę na prowincji, która i tak już nie ma żadnych szans, polecam ich lekturę amatorom seksu.

WOJCIECH CZERNAWSKI

WIRÓWKA PANORAMICZNA

Oprac.: Wiesław Pyżewicz

Początek i kierunek wpisywania 8-literowych wyrazów jest zaznaczony.

Z bezbłędne rozwiązanie krzyżówki rozlosujemy nagrodę książkową wartości ok. 900 zł. Rozwiązania prosimy nadsyłać w terminie 14 dni od daty ukazania się numeru; na kopercie należy nakleić zamieszczony obok kupon.

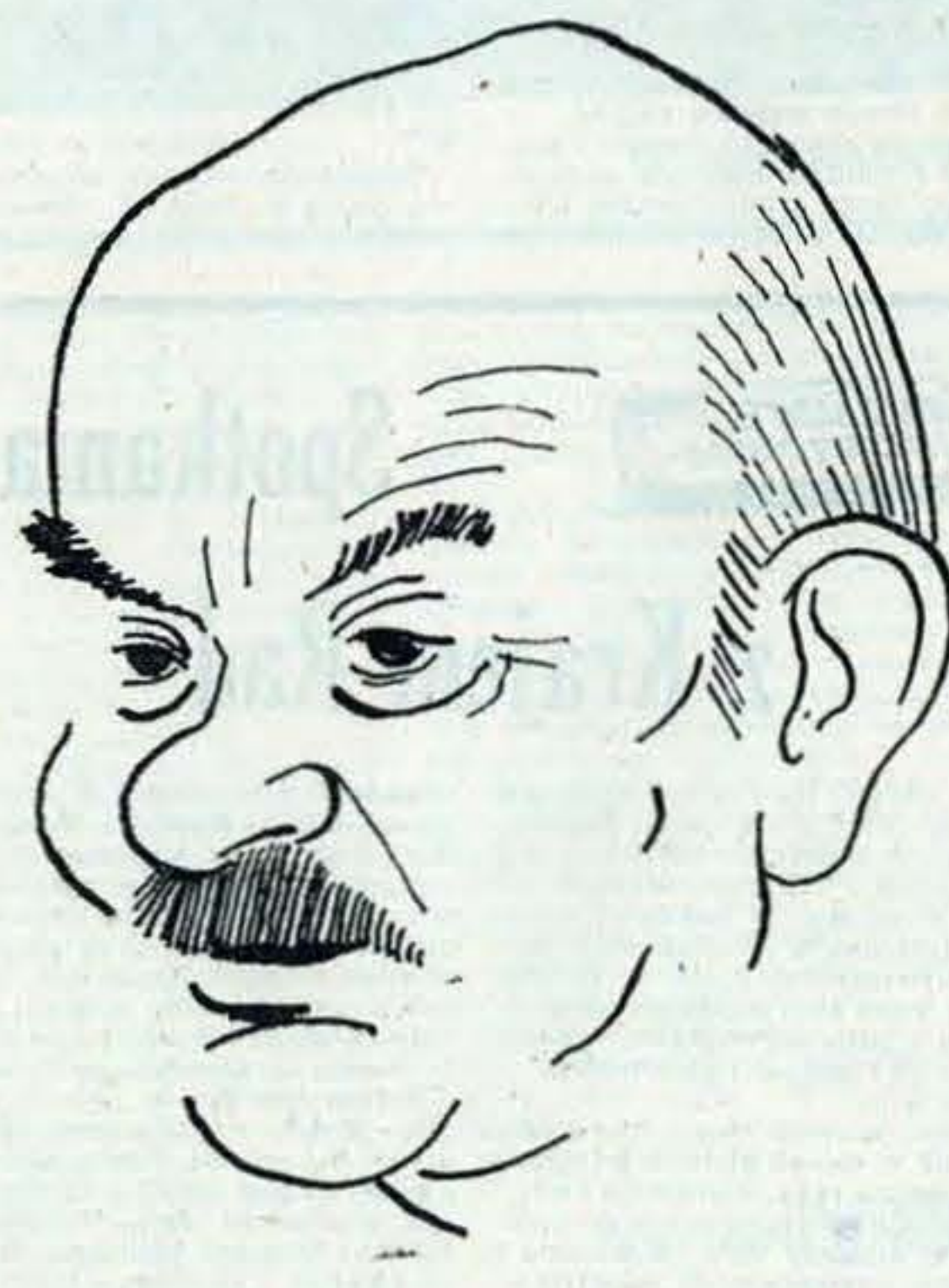
ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NR 20

Poziomo: piaca, legia, Basra, piosen-karka, Zola, usta, Raksa, statek, por-ter, plakat, kankan, Tamara, stukoł, scena, tuja, Akra, autoreklama, imago, teizm, kapok. Pionowo: placz, klaser, ogonek, Samara, próba, aria, Baku, plutokracja, astronautka, talia, Kotka, pokos, Erato, sorty, elegia, aplomb, trema, auto, amok, aktor.

Nagrodę książkową wartości ok. 900 zł wylosował p. Andrzej Konik zam. ul. Zakątek 8/3, 30-076 Kraków. Gratulujemy.



GŁOWY DO POZŁOTY w karykaturze Leszka Hermanowicza



ZBYSZKO PIWOŃSKI — wojewoda zielonogórski